

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Ł.. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 14 lipca 1906 r. Nr. 28.

Odkrycie fabryki bomb.

(Treść na stronie 3).



Z powodu skonfiskowania w Warszawie strony 18 w poprzednim numerze, dołącza się dla prenumeratorów w Królestwie Polskiem do niniejszego numeru powtórną odbitkę illustracyi »Zjazdu Rejowskiego«, która stanowiła str. 17 w nrze 27.

Pomnik Bartosza z Racławic.

Przed kilku laty podniesiono we Lwowie myśl uczczenia pomnikiem pamięci bohatera w sukmanie, Bartosza Głowackiego. Myśl ta doczekała się wreszcie urzeczywistnienia i w ubiegłą niedzielę został we Lwowie pomnik Głowackiego odsłonięty.



Pomnik Bartosza: Odsłonięty w niedzielę we Lwowie w parku na Łyczakowie pomnik Bartosza Głowackiego. (Fot. M. Münz).

Pomnik ten, ostatnia kompozycya artysty-rzeźbiarza śp. Markowskiego, przez niego rozpoczęty, a dokończony przez p. Kuźniewicza, wznosi się na malowniczo położonem wzgórzu, na krańcu parku Łyczakowskiego, skąd prześliczny roztacza się widok na całą kotlinę lwowską. Podstawę pomnika tworzą w formie ściętego ostrosłupa usypane kamienie. Na nich postać Bartosza Głowackiego, w sukmanie, wstępującego lewą nogą na lawetę armaty, z kosą na prawem ramieniu, wykuta w zwyczajnym jasno-szarym kamieniu. Na podstawie umocowana marmurowa tablica z napisem: „Bartoszowi Głowackiemu, bohaterowi z pod Racławic, mieszczanie rękodzielnicy we Lwowie. MCMV“. Całość pomnika przedstawia się zarówno pod względem kompozycyi jak wykonania chociaż skromnie, ale ładnie i przynosi zaszczyt zarówno zmarłemu artyście śp. Markowskiemu, jak i p. Kuźniewiczowi, młodemu artyście-rzeźbiarzowi.

Uroczystość niedzielna rozpoczęła się rano nabożeństwem w kościele archikatedralnym. Po nabożeństwie udali się uczestnicy uroczystości w dużym pochodzie do parku łyczakowskiego. Pochód otwierał konny oddział „Sokoła“, za którym maszerowały zastępy piesze „Sokoła“. Dalej szła młodzież szkół średnich, włościanie z pod Lwowa a na ich czele trzech włościan z Racławic, w pięknych, malowniczych swych strojach, nadto włościańskie delegacye z Galicyi zach. oraz posłowie ludowcy, delegacye stow. rękodzielniczych, tow. uczestników powstania 1863—4, tow. strzeleckiego, straże ogniowe ochotnicze, wreszcie partya robotnicza.

O pół do 11, sekretarz komitetu budowy pomnika, p. Ferdynad Ohly, oddał pomnik pod opiekę miasta, zaznaczywszy, że mieszczaństwo lwowskie, hołdujące idei szczerego zbratania się wszystkich stanów dawnej Rzeczypospolitej polskiej, dało temu wyraz przez postawienie pomnika Bartoszowi Głowackiemu. Po opadnięciu zasłony orkiestra odegrała „Bartoszu, Bartoszu“ – poczem prezydent miasta, p. Michalski, zepewnił, że gmina szczerze zaopiekuje się tym pomnikiem, przyczem dodał: Ziomkowie drodzy! Spojrzyjcie tam, w dali na wzgórzu (na przeciwnej stronie miasta), tak świętem dla nas, widnieje pomnik dwóch męczenników naszej świętej narodowej sprawy, ś. p. Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego, zwróćcie wzrok znowu w inną stronę, a okiem ducha ujrzycie bohaterską postać szewca pułkownika Kilińskiego z rozwiniętym sztandarem wolności. Uchylcie czoła przed tym tutaj pomnikiem bohatera z ludu, ludu, któremu Polska tak długo macochą a nie matką była, a który przecież w jej obronie przelewał krew, który dziś tworzy podwalinę budzącej się do życia Ojczyzny. Trzy te pomniki — to jedna myśl, jedna idea. Trzy te pomniki wzniosło prawie wyłącznie swemi siłami mieszczaństwo polskie. A pomniki te — to nie są nieme głazy, to głosy. Mówią one: Niech szlachta nasza idzie zawsze drogą jednego z najszlachetniejszych swych braci, jakim



Pomnik Bartosza: Twórca odsłoniętego w niedzielę we Lwowie pomnik Bartosza Głowackiego, artysta-rzeźbiarz Grzegorz Kuźniewicz. (Fot. M. Münz).

był Teofil Wiśniowski. Niech mieszczaństwu naszemu przyświeca przykład Kilińskiego. Niech lud nasz ukochany, ta przyszłość narodu i Ojczyzny, wstępuje w ślady Bartosza Głowackiego — wówczas niema siły, któraby nas zmogła. Pomniki te, to zarazem bastyony nasze. Minęły te czasy, w których miasta otaczały się murem i przywilejem od reszty społeczeństwa i tworzyły odrębne organizacye. Padły mury, padły przywileje, padły kasty, a miasta nasze z twierdz zbrojnych, zmieniły się w twierdze polskiego ducha. Lwów był, jest i będzie taką twierdzą.

Rzęsistemi oklaskami powitała publiczność posła Jakóba Bojkę, który mówił imieniem ludu polskiego.

Poseł Artur Cielecki przemówił imieniem Kółek rolniczych. „Niech żyje zgodna — zakończył — praca nad ludem“.

Teraz stanęli pod pomnikiem trzej włościanie z Racławic, witani entuzyastycznie, a jeden z nich Adam Jędruch wygłosił następujące słowa:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! (Odpowiedziano mu: Na wieki wieków!) Radosna wiadomość o odsłonięciu pomnika Bartosza Głowackiego doszła i do naszej ziemi. I przybyliśmy z Racławic, z tych pól i błoń, krwią chłopską niegdyś dymiących, z tej świętej ziemi racławickiej, na której bohaterstwem swojem nauczyłeś nas, Bartoszu, kochać swoją ojczyznę, a kochać nie czczem słowem, ale czy-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz we Lwowie.

Pomnik Bartosza: Uroczystości patryotyczne we Lwowie z powodu odsłonięcia pomnika Bartosza Głowackiego: Pochód „Sokołów“.

nem, boś ją swą piersią od wroga zasłaniał. Przybyliśmy z tych wsi, gdzieś się urodził i gdzieś walczył, Ty, pierwszy chłop polski — Ty bohater — Ty patron narodowy nasz. Żyje tam między nami pamięć o tobie, tam u nas, młodzież o Tobie pieśni śpiewa, u nas matki dzieci swe w kołysce piosnkami o Tobie do snu utulają. Tyś w pojęciu racławickiego chłopa wielki! my Tobie tam, wystawimy pomnik, ale taki, żeby szczytami nieba sięgał, a cała go Polska widziała. Tymczasem przyjmij garść racławickiej ziemi, krwią polską przesiąkłej, przynieśliśmy Ci ją z Racławic".

Włościanie racławiccy przywieźli z sobą ziemię z pól swoich, którą pomieszczono w prześlicznym schowku. Jest to mała żelazna skała, na której orzeł biały zrywa się do lotu. Pod skałą umieszczono schowek w formie szufladki. Na przodzie skały widnieje napis:

„Bohaterowi z pod Racławic — A gdy Ojczyzna zawoła, pójdziemy w Twe ślady — Włościanie z pod Racławic".

Następnie prezes T. S. L, dr Ernest Bandrowski wypowiedział imieniem tej instytucyi piękną mowę:

„Gdy starsi bracia w morze pobiegli płomieni, gdy ziemię polską zalał potop nieszczęść, a naród pogrążył w bezgranicznej żałobie — dźwignął się jak kolos, ten trzeci, najmłodszy, w siermiędze i pod wodzą ukochanego generała w chłopskiej sukmanie, z kosą w ręku, a krakuską na głowie, stanął wałem za starszą bracią i zapisał na karcie dziejów naszych: Racławice". Mowca zakończył słowami Asnyka: „Ten trzeci, najmłodszy w siermiędze, oprze się pokus i czarów potędze i pnąc się zwolna mimo straże gniewne, z snu zaklętego obudzi królewnę".

Członek Stowarzyszenia „Gwiazda", p. Józef Frühauff, imieniem młodzieży rękodzielniczej, oddał cześć bohaterowi, wyrażając życzenie, aby wszyscy rękodzielnicy poszli jego śladami. Wyrazicielami uczuć młodzieży akademickiej pod pomnikiem byli pp.: Kahl, delegat „Czytelni akademickiej", oraz p. Szuszkiewicz, technik, delegat postępowego odłamu. Po nich wygłosił mowę imieniem polskiej partyi socyalno-demokratycznej, radca miejski Hudec.

Ostatnim z mowców był młody wieśniak z Sokolnik, Wojciech Pawlaczek, imieniem wiejskiej młodzieży.

Złożono na pomniku kilka wieńców od włościan, zaintonowano „Jeszcze nie zginęła" i z pieśnią tą fala ludu poczęła o godzinie 12 w południe płynąć zwolna ku miastu, gdzie spokojnie rozpierzchły się tłumy na różne strony.

Po południu podejmowały rozmaite stowarzyszenia delegatów z prowincyi, wieczorem zaś odbyły się dwa wiece: stronnictwa ludowego w „Gwieździe" i stronnictwa demokratyczno-narodowego w „Skale".

Obchód niedzielny wypadł wogóle bardzo pięknie i poważnie, pozostawił też uczestnikom jak najlepsze wrażenie.

Odkrycie fabryki bomb.

(Do illustracyi tytułowej).

Niezwykły wypadek zdarzył się przed kilku dniami w Miechowie, w gubernii kieleckiej w Królestwie Polskiem.

Jest tam stary wapiennik, od pewnego czasu nieczynny. W nim rewolucyoniści urządzili potajemnie fabrykę bomb.

Musiano się przypadkiem o tem dowiedzieć skutkiem denuncyacyi lub też tylko podpatrzono, iż niekiedy zachodzą tam ludzie mimo, że się tam robota nie odbywa. Dość, że w nocy nagle wapiennik został otaczony przez 25 kozaków.

Pięciu z nich weszło do pieca, a jeden do piwnicy, zamkniętej płytą kamienną, reszta zaś została wokoło na straży.

Naraz nastąpił wśród ogłuszającego huku straszny wybuch, wapiennik wyleciał w powietrze, zabijając ośmiu kozaków, a raniąc pięciu.



Fot. W. Lis.

Na scenie ludowej: Dyrektor krak. teatru ludowego Fr. Frączkowski w roli Naczelnika w sztuce „Kościuszko pod Racławicami".



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych" Marek Münz we Lwowie.

Pomnik Bartosza: Uroczystości patryotyczne we Lwowie z powodu odsłonięcia pomnika Bartosza Głowackiego: pochód stowarzyszeń ze sztandarami i wieńcami.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

16 Ciąg dalszy.

— Dajże pokój, Loluś, ja przecież sam o tem wiem najlepiej, nie potrzebujesz mi tego przypominać.. O cóż idzie... Chcesz, bym się z tobą ożenił, owszem, możeby ślub wziąć, przecież ja wolny jestem, a wiesz sama, jak ja się w tobie swego czasu durzyłem...

Za chwilę zapanowała między nimi zgoda. Ludwikowi udało się udobruchać Lolę.

Wypocząwszy sobie, ruszyli w dalszą drogę.

Był ranek biały, gdy zaszli na ową stacyjkę kolejową, z której postanowili odjechać najbliższym pociągiem.

Trafili dobrze, ponieważ za kwadrans odchodził istotnie pociąg do Wilna. Było bezpieczniej dla nich nie wsiadać od razu do pociągu bezpośredniego między Petersburgiem a Warszawą i skorzystali z tej okazyi skwapliwie.

Jechali w pustym przedziale zadowoleni oboje i nie wiedzieli nawet, kiedy przyszło im wysiadać.

W Wilnie zabawili kilka godzin, tu przebrał się Ludwik po męsku i dopiero przed wieczorem ruszyli w dalszą podróż, teraz już wprost do Warszawy.

W niespełna godzinę drogi opuścili ich wszyscy towarzysze podróży, a wtedy Lola w próżnym przedziale zmieniwszy suknie, ułożyła się do snu.

Ludwik postanowił czuwać bez przerwy, siedząc przez pół leżąco, przyczem szkatułki nie wypuszczał z rąk ani na chwilę.

Lola była śpiąca i miała wielką ochotę, zaraz oczy zamknąwszy, zasnąć na dobre. Ale coś jej ciągle szeptało do ucha:

— A jeżeli Ludwik na najbliższej stacyi wysiądzie niespodziewanie z kasetką...

Aż dreszcz wstrząsał ciałem dziewczyny na tę myśl okropną.

Wprawdzie on ją już kilkakrotnie uspakajał, ale co chwila przypominała sobie jego odpowiedź pierwszą z miejsca, wówczas, gdy go zapytała, czy się z nią ożeni...

Miała tedy powód nie ufać mu.

W Rybiszkach on jej potrzebował. Dziś przeciwnie, ona mu jest tylko zawadą. Cóż łatwiejszego dla niego, jak pozbyć się jej za jednym zamachem.

Gdy ona zaśnie twardo, skorzysta on zapewne z tego, żeby ze szkatułką wysunąć się z wagonu na jakiejś stacyi i innym pociągiem uciec jej raz na zawsze. Wszak wie on sam najlepiej, że Czaplicka niema prawa gonić go, nie może policyi zawiadamiać o tem i żądać ścigania. Nie sposób, by Reman mógł nie wyzyskać tak świetnej sposobności usunięcia owej kuli u nogi, jaką ona dla niego bądź co bądź stanowi teraz.

Po co mu jej dzisiaj, kiedy on stawszy się naraz tak bajecznie bogatym człowiekiem, może sobie wybrać lepszą towarzyszkę...

Tak rozmyślając, Lola aż zęby zaciskała ze złości.

Te cudne marzenia jej mogły rozwiać się nagle, prysnąć, jak bańka mydlana...

Żal ją zdjął, wielki żal. Z wyrzutem spojrzała na Ludwika, jak gdyby ją był już oszukał i zdradził...

A tymczasem Remanowi ani przez myśl nie przeszło nic podobnego. Zastanawiał się nad wszystkiem innem, tylko nie nad tem, że, jeżeli mu zawadza Lola, to najwygodniej byłoby mu teraz pozbyć się jej w podróży.

Niepokój wewnętrzny szarpał go ciągle. Z ławki opuścił nogi na podłogę i usiadłszy inaczej, położył sobie kasetkę na kolana.

Lola oczy miała niby to przymknięte, ale mimo to wzroku nie spuszczała ze swego towarzysza, śledząc pilnie każde jego poruszenie.

Właśnie Reman zaczął coś kluczykiem majstrować koło szkatułki, gdy wyjechali z jakiejś stacyi, skąd pół godziny drogi było do następnego przystanku, a więc nie zachodziła obawa, by mu ktoś mógł w tych czynnościach przeszkodzić.

Już Lola była gotowa zerwać się z ławki i poskoczyć ku niemu, ale się wstrzymała.

— A jeżeli on nie byłby otworzył szkatułki w tym razie, gdyby widział, że ja nie śpię...

Więc, żeby go nie spłoszyć, przyczaiła się i udając w dalszym ciągu, że śpi, pozwoliła mu otworzyć kasetę.

Nie wytrzymała jednak z chwilą, gdy wieko się podniosło i natychmiast dźwignęła głowę. Zrobiła to jednak tak bez szmeru, że Ludwik nie zauważył jej poruszenia się, tembardziej, że wzroku nie odrywał od wnętrza tajemniczego pudełka.

Siedział oślepiony przez długą chwilę nieruchomo. Nawet ręki nie mógł wyciągnąć, by dotknąć się tego skarbu, który wypełniał kasetę, spoczywającą na jego kolanach.

Tylko głowę pochylił na piersi, jakgdyby chciał oczyma być bliżej drogocennych kamieni i nasycić wzrok swój ich widokiem.

Tak wielkich dyamentów jeszcze w swem życiu nie widział Ludwik Reman. Słyszał tylko nieraz o istnieniu takich na świecie. Czyż kiedy mógł marzyć, że przyjdzie dzień, w którym będzie spoglądał na nie okiem właściciela...

Zdawało mu się zaś, że sprawa już nie ulega pod tym względem żadnej wątpliwości i zaczynał czuć się istotnie prawym właścicielem całego skarbu.

Powoli zapomniał już i o Goldenthalu, o Rożniewie, o Łodzi, a zaczynał myśleć o tem, jak będzie się przedstawiało jego życie kędyś za światami, może w Ameryce — po spieniężeniu dyamentów.

W tych myślach ani razu nie nasuwała mu się przed oczy postać Loli Czaplickiej, jak gdyby o niej zapomniał, że ma z nią dzielić się swoim skarbem.

To też jak gdyby ze snu zbudzony, spojrzał na nią zdumiony, gdy naraz przed nim stanęła.

Lola bowiem przeczekała, aż nadejdzie chwila sposobna i dopiero teraz po cichu wstała ze swej ławki i zbliżyła się do Ludwika, nachylając się zaraz nad otwartą kasetą.

W pierwszej sekundzie Reman zadrżał i uczynił ruch taki, jak gdyby przerażony, chciał w obronie skarbu zagrożonego, zamknąć znienacka wieko szkatułki. Ale natychmiast zoryentowawszy się, sam przed sobą zawstydził się i pozwolił Loli zajrzeć w głąb pudła żelaznego.

Teraz ją z kolei oślepił widok niesłychany, zaiste bajkowy. Stanęła oczarowana i jak zaklęta nie poruszyła się przez długą chwilę, w zmysł wzroku przemieniona.

Milczeli. Aż naraz jej usta zadrgały pytaniem mimowolnem:

— Ludwiś... więc to naprawdę dyamenty... prawdziwe dyamenty?

— Najprawdziwsze — odparł Reman spokojnie z powagą.

— Więc to tak wygląda... Nic nie podobne do brylantów... Gdybyś mi nie był przedtem tłómaczył tej różnicy, nie byłabym teraz, pierwszy raz to widząc, uwierzyła, że mam przed sobą tak drogocenne skarby...

Ludwik się uśmiechnął i nic nie odpowiedział.

Jej zaś do głowy myśl wróciła niepokojąca, iż może poraz ostatni ogląda zawartość tej szkatułki, że może chwila zdrady Remana jest bliską i po czarownym śnie krótkim, zostanie jej tylko na całe życie żałosne wspomnienie — nic więcej..

Gdybyż cząsteczka przynajmniej tego, co się w tej kasetce mieści, mogła być jej niepodzielną własnością...

Wszak Ludwikowi oddała w Rybiszkach nieocenioną przysługę. Choćby za to samo mógłby on jej dać w nagrodę prezent kosztowny...

Już miała tedy zamiar powiedzieć Remanowi, żeby jej ofiarował parę kamieni na pamiątkę pobytu swego u niej w Rybiszkach. Lecz zawahała się. A jeżeli w ten sposób popsuje sobie interesa, zamiast naprawić..

W tej chwili sprawa tak stała, że Lola była niejako współwłaścicielką szkatułki z jej zawartością, jako nieodstępna jego towarzyszka. Nie było wykluczone, że przecież mógł się z nią Reman i ożenić wreszcie, a wówczas stałaby się prawą posiadaczką milionowej fortuny.

Może właśnie Ludwik nie ma złych zamiarów, o jakie ona go niepotrzebnie podejrzewa.

A tymczasem, jeżeli mu teraz zrobi podobną propozycyę właśnie w takiej formie, gotowa mu tym sposobem podsunąć dopiero myśl, iż spodziewa się, że prędzej czy później, on ją i tak porzuci z niczem, a wtedy zostałaby jej cenna pamiątka, w postaci paru dyamentów... To nie bagatela wprawdzie, ale jeżeli można mieć znacznie więcej, po co poprzestawać na tak małem...

Wreszcie, mimo wszystko, zdecydowała się odezwać, jeno w innej formie.

— Słuchaj Ludwiś... Podaruj mi już dzisiaj kilka sztuk... Widzisz, ja się tem cieszę, jak małe dziecko... Zrobiłbyś mi taką przyjemność, że sobie sam z tego sprawy nie zdajesz... Ty masz tyle tych kamieni, że prawie nie uczujesz różnicy, gdy mnie ofiarujesz parę z nich, tak, na wyłączną moją własność... Dobrze Ludwiczku, co? Zgodzisz się, mój złociutki, nie odmawiaj Loli... Widzisz, takie małe, malutkie dzidzi, prosi o zabaweczkę...

Nie mógł się Ludwik powstrzymać od śmiechu.

— Nie wszystko można dawać dzieciom do zabawy — zażartował sobie.

— No, to ja schowam tak, że nikt u mnie nie zobaczy, ja się tem nie będę bawiła przy ludziach, słowo ci daję, seryo, Ludwiś, jak cię kocham, że dobrze schowam...

Reman, który przez ten czas grzebał w kamieniach, aż do dna badając zawartość pudełka i podziwiając rozmiary poszczególnych kamieni, teraz przymknął wieko i odparł poważnie:

— Nie, duszko, pod żadnym warunkiem nie mogę ci nic teraz dać z tego... Potem, w Warszawie, dostaniesz, zapewniam cię.. A zresztą o cóż ci idzie, moja droga, tak czy owak, masz z tego korzystać do spółki ze mną... Bądź tedy tylko cierpliwą.

Te słowa nareszcie uspokoiły dziewczynę na czas pewien do tego stopnia, że kiedy Ludwik zamknął na klucz z powrotem szkatułkę, położyła się Lola spać, a zasypiając, czyniła sobie jeszcze wyrzuty w myślach, jak mogła tak dobrego chłopca posądzać o zdradę.

Zdrada.

Zbudziwszy się następnie, zabawiała Lola swego towarzysza pod koniec podróży tak wesoło i była tak przyjemną, że się mogła Remanowi wydawać jak najodpowiedniejszą kandydatką na żonę.

Chwilami myśl tę odpędzał od siebie Ludwik z uporem, ale w parę minut później tak mu się znów podobała, tak go oczarowywała, że zastanawiał się nad tym projektem w sposób zupełnie poważny.

— Tak mi z nią dobrze jest, dlaczegóż nie miałbym się z nią ożenić...

To samo pomyślał sobie w kilka godzin później, gdy szczęśliwie przybyli do Warszawy, w chwili wynajmowania pokoju wspólnego w hotelu...

Ale rychło zaczął tego żałować, gdy zauważył, jak poufale witała się Lola ze starszym kelnerem, płatniczym w restauracyi hotelowej, skąd do numeru kazali sobie przynosić jedzenie.

— Zły wybór zrobiłem — rzekł sam do siebie — trzeba było stanąć w innym hotelu... Tutaj Lola zna się z numerowymi, zadaje się z każdym kelnerem... To nie dobrze..

Zwrócił jej na to uwagę, by miała wzgląd na niego.

— Ale dajże pokój, Ludwiś, to przecież moi starzy znajomi... A z tym Teofilem, to się poznałam raz na balu kelnerskim... Musiałam mu się przypomnieć... Całą noc tańczyliśmy wtedy razem, wesoły chłop z niego...

Skrzywił się na to Reman i zamilkł.

Wprawdzie mógł się tego wszystkiego spodziewać, wiedząc, jakie znajomości miała Lola, będąc kelnerką w różnych bawaryach warszawskich przez czas dłuższy, ale jakoś mu to musiało wyjść z pamięci i teraz stało się przykrą niespodzianką.

Trzeba było jednak znieść wszystko cierpliwie, skoro było poniewczasie.

Zakrzątnął się tedy Ludwik przedewszystkiem około tego, by módz co rychlej opuścić Warszawę w drodze za granicę.

Miał on człowieka zaufanego, którego adres znał doskonale na Lesznie, a do którego mógł się był każdej chwili zwrócić z dyskretną propozycyą. Tam też postanowił przedewszystkiem udać się z dyamentami, pewny, że znajdzie bezzwłocznie pomoc w sprawie spieniężenia kosztownych kamieni. Tam dowie się o ich wartości właściwej. Tam wskażą mu pośrednika pewnego, który potrafi załatwić sprzedaż w jak najkrótszym czasie. A na tem wszystkiem zależało właśnie Ludwikowi najbardziej.

Zwłaszcza potrzebował rady pod tym względem, czy należy spieniężyć wszystko na miejscu i z gotówką umykać coprędzej za Ocean, czy też wyzbyć się w Warszawie tylko o tyle paru kamieni, by sobie zapewnić środki na wyjazd i utrzymanie aż do miejsca, gdzie byłoby korzystniej przeprowadzić całą transakcyę.

Zamknąwszy na klucz drzwi numeru hotelowego, wyciągnął Reman szkatułkę z ukrycia i zaczął szukać między kamieniami sztuk odpowiednich, któreby mógł zanieść na pokaz na Leszno. Długo grzebał palcami między dyamentami, znajdującemi się w kasetce, w chustce jedwabnej żółtego koloru, przyczem Lola Czaplicka nie spuszczała z niego ani na chwilę swego wzroku.

On plecyma do niej odwrócony, zobaczył jednak w lustrze twarz jej i oczy roziskrzone.

Zastanowił się nad wyrazem jej twarzy i od razu stracił zaufanie do Loli.

— Wiesz, ty, o co ja cię będę musiał poprosić — zwrócił się do niej nagle.

— Cóż takiego?

— Zejdź na chwilę na miasto... tutaj gdzieś blisko znajdziesz w sklepie galanteryjnym torebkę niedużą, skórkową, w którejbym mógł zanieść to, rozumiesz, nie mam w czem... Prawda, że to będzie tak najlepiej... Masz tu Loluś pieniądze... Tylko pośpiesz się, dziecko. Rozumiesz, jaka to powinna być ta torba, taka podłużna, nieduża...

Włożyła Lola śpiesznie kapelusz i wyszła, a Ludwik kazał jej zabrać z sobą klucz od numeru, żeby nie potrzebował jej sam otwierać.

Po jej wyjściu włożył na siebie płaszcz, wypróżnił kieszenie w nim, potem w marynarce i znowu zaczął grzebać w kamieniach.

Nie wróciła Czaplicka wcześniej, jak za jakieś trzy kwadranse.

— Ach, tyle się naszukałam... ale jest dobra, popatrz, jaka ładna torebka...

Zastała go niemal w tej samej pozycyi, w jakiej go pozostawiła nad szkatułką. W rękach trzymał zaledwie trzy kamienie.

— Uważasz Lola — rzekł, pokazując je dziewczynie — tylko te zabiorę z sobą — i włożył je do przyniesionej przez nią torebki.

Radość błysnęła z oczu Loli na widok żółtej chusteczki jedwabnej, kryjącej resztę skarbu w kasetce, którą w jej oczach dopiero zamykał Ludwik, poczem ustawiono pudełko żelazne na dnie szafy.

— Mogłabyś zgubić kluczyk od szafy, to ja go schowam sam do kieszeni, dobrze — zagadnął.

— A gdzież miałabym go zgubić?

— Przecież pojedziesz ze mną tam, dokąd się wybieram...

— Wiesz ty co, Ludwiś, ja w numerze na ciebie zaczekam... Czuję się niezbyt silną, zmęczenie podróżą teraz dopiero odzywa się... Najlepiej położę się...

— Jak chcesz, moja droga.. Ale to ja wolę ze sobą klucz od szafy zabrać wraz z kluczykiem od szkatułki, bo przecież mogłabyś zasnąć twardo, a przez ten czas ktośby mógł tutaj się zakraść...

— Cóż ci się śni... w hotelu... chyba dobranym kluczem domowy złodziej...

— Już ja tam nie dowierzam, to zresztą jest hotel podejrzanego gatunku...

— Więc nie jedziesz ze mną..

— Nie Ludwiczku... poczekam na ciebie... Ale ty nie będziesz długo bawił w mieście? Pół godziny?

— Dobraś sobie... Przecież tego rodzaju interesa nie dadzą się załatwiać tak piorunem... Przynajmniej kilka godzin stracę na to niewątpliwie.

Pożegnali się. Lola w oknie stanęła i jeszcze przez szybę na ulicę wyjrzawszy, całusy od ust ręką posyłała za Ludwikiem, który oddalając się, uśmiechał się do niej i kapeluszem ją żegnał.

Wychyliła się bardziej i dopiero, gdy dostrzegła, że znikł na zakręcie ulicy, odskoczyła od okna, rzuciła się ku drzwiom i z progu klasnęła w dłonie.

Natychmiast zjawił się kelner-płatniczy z restauracyi hotelowej.

— Już, Alojzy... już można — szepnęła.

— Zostawił? — spytał ten, wsuwając się za nią do pokoju.

— Oprócz trzech, wszystkie, tylko szafę zamknął...

— Eh, to bagatela...

Alojzy przekręcił klucz w drzwiach od kurytarza i zbliżył się do szafy.

— Stań Lola w oknie i uważaj...

Kelner wyjął pęk kluczyków z kieszeni i zaczął próbować... Jeden za drugim nie nadawały się do zamku, lecz po chwili drzwi wreszcie odskoczyły i Alojzy schwycił za rączkę kasetki, na dnie szafy ukrytej.

Obejrzał rozmiary niedużej szkatuły i wypadł pośpiesznie na kurytarz. Powrócił zaraz z walizą, umieścił ją na krześle i otworzył.

— Patrz Alojzy... Doskonale mieści się szkatułka w tej walizce — szepnęła Lola, skwapliwie umieszczając cenne pudełko.

— Czy zresztą jesteś ze wszystkiem gotowa?

— Naturalnie, możemy się wynosić, tylko słuchaj Lojziu, czy nikt nie zauważy, jak będziemy stąd wychodzili...

— Nic się nie bój — uśmiechnął się Alojzy, zamykając walizę, a odpowiedź jego zupełnie uspokoiła Czaplicką tembardziej, iż była pewną, że Ludwik Reman nie może jej ścigać, ponieważ, jak sobie sprawę przedstawiała, on sam ukradł kasetkę z dyamentami i za nim raczej będzie pościg wysłany...

W kilka godzin później Lola z kelnerem Alojzym była już w drodze do Paryża, gdzie on miał kolegę garsonem w jakiejś kawiarni pierwszorzędnej i dokąd dlatego wybrał się ze swą przyjaciółką bez względu na to, że oboje dziesięciu słów razem nie umieli po francusku.

Porwanie z Pawiaku.

Ludwik Reman zastawiwszy w bezpiecznem miejscu dyamenty, wziął za nie sumę pokaźną.

Teraz miał jedno pragnienie: uwolnić natychmiast siostrę z więzienia i opuścić wraz z nią Europę.

Wprawdzie wyobrażał sobie, że Goldenthal stał się dla niego raz na zawsze nieszkodliwym, wprawdzie nabrał przeświadczenia, że jest poprostu niepodobieństwem, by go baron ścigał policyjnie, ze względu na tajemniczą historyę podziemia kaplicy w Rożniewie. Ale mimo wszystko, dla bezpieczeństwa, przecharakteryzował się na czas pobytu w Warszawie.



— Patrz Alojzy, doskonale zmieści się szkatułka w tej walizce — szepnęła Lola, skwapliwie umieszczając cenne pudełko.

W peruce i z przyprawioną bródką, tak się Ludwik odmienił, że nie byłby go poznał bezwarunkowo nikt z bliższych nawet znajomych.

A miał on w Warszawie, dokąd z Łodzi często przyjeżdżał, mnóstwo znajomości. Stosunki miejscowe pod żadnym względem nie były mu obce.

Zręcznie tedy potrafił zabrać się do wykonania planu swego w celu uwolnienia Marylki z Pawiaku.

Poszedł on do pewnej restauracyi, w której jadali rozmaici funkcyonaryusze tego więzienia.

Znał się tam dobrze z bufetową. Zaufał jej i zdradził się przed nią mimo odmiennej charakteryzacyi, kim jest. Przypomniała go sobie i chętnie ofiarowała mu się z każdą przysługą, jakiejby od niej zażądał.

Wskazała mu pewnego dozorcę więziennego, który był wielce rozgoryczony, ponieważ właśnie niedawno odkryto jakieś brzydkie jego malwersacye i władze wystąpiły przeciw niemu w sposób surowy.

— Ten gotów zrobić dla pana wszystko, byle mu dobrze za to zapłacić... On i tak nosi się z zamiarem ucieczki za granicę, więc mu wszystko jedno... Tyle nabroił, że musi zemknąć... Ale właśnie rozpacza, że mu brak pieniędzy na wyjazd z Warszawy.

— Ślicznie się składa — pomyślał sobie Reman i już z góry liczył na powodzenie, plan układając.

Bufetowa zaznajomiła ich wzajemnie.

— Dam panu — mówił Reman — tysiąc rubli, z czego czwartą część natychmiast, resztę zaś wypłacę z chwilą, gdy wszystko się powiedzie...

— O co idzie? a raczej o kogo? może o doktora Anielskiego?

— Nie, o pannę Maryę Reman, która niewinnie przesiaduje na Pawiaku, pod zarzutem dzieciobójstwa uwięziona...

— Wiem, wiem, znam... Pan jesteś zapewne jej narzeczonym...

— Tak — bąknął Reman.

— Widzi pan, niedawno był ktoś u niej właśnie, o kim sądzono u nas... przepraszam pana, że ta panna jest jego kochanką... Czy pan nie w jego imieniu ma zamiar poczynić kroki?...

— Nazwisko tego pana, który ją odwiedził w więzieniu?

— Goldenthal... ten baron... bogacz łódzki...

— Niepodobna, on sam był — szepnął Ludwik, siląc się na spokój, mimo, że zatrząsł się cały na tę wiadomość...

— Oto patrz pan, jego bilet wizytowy z adresem w hotelu Europejskim, dał mi go, żebym mu tam dał znać, ile razy kto odwiedzi tę pannę...

Teraz wszystko zrozumiał Reman i aż mu zadrżała ręka, w której trzymał pokazany mu bilet barona.

A zatem Goldenthal przecież uciekł jeszcze z życiem z Rybiszek.

— Trzeba działać pośpiesznie a zręcznie — pomyślał sobie Reman i zaraz wziął się do dzieła.

Długo rozprawiali o-baj nad planem ucieczki Marylki, aż wreszcie kiedy zgodzono się na jedno, Reman wypłacił 250 rubli dozorcy.

Zastrzegł sobie, żeby o nim nic Marylce nie wspominać w razie czego, tylko ją zapewnić, że wszystko odbywa się w imieniu Goldenthala.

Kiedy rozeszli się, spośpniał nagle Ludwik, zamyśliwszy się nad dziwną dla niego zagadką.

Jakim sposobem baron raniony zdołał wydostać się z zamkniętej piwnicy... Kto go uwolnił?

Tak czy owak, człowiek ten nie tylko żyje i po świecie chodzi, ale jest w tej chwili, co najgorsza, w Warszawie.

To w najwyższym stopniu zaniepokoiło Remana. Snuły mu się po głowie różne myśli czarne.

Postanowił być przezorniejszym jeszcze, niźli dotychczas. Wprawdzie wydawało mu się, że odmienił się już przez charakteryzacyę do tego stopnia, iż nikt poznać go nie może, ale mimo wszystko na ulicy kołnierz podnosił do góry i kapelusz zaciskał na oczy.

— Przezorność jest matką mądrości — mówił sam do siebie.

Nazajutrz miał się zobaczyć ze swoim sprzymierzonym „pod nową gwiazdą“ późnym wieczorem, ale już przedtem zaszedł na obiad do pewnej knajpki na Długiej, gdzie ów dozorca więzienny stale się stołował. Spotkali się i Ludwik dowiedział się, że już następnego dnia ma się nadarzyć dobra sposobność, z której da się skorzystać w celu uwolnienia Marylki. (C. d. n.)



Otwarcie Sokolni warszawskiej: Pluton sztandarowy niesie sztandar sokoli na front oddziału. (Fot. Czesław Kulewski).

Otwarcie Sokolni Warszawskiej.

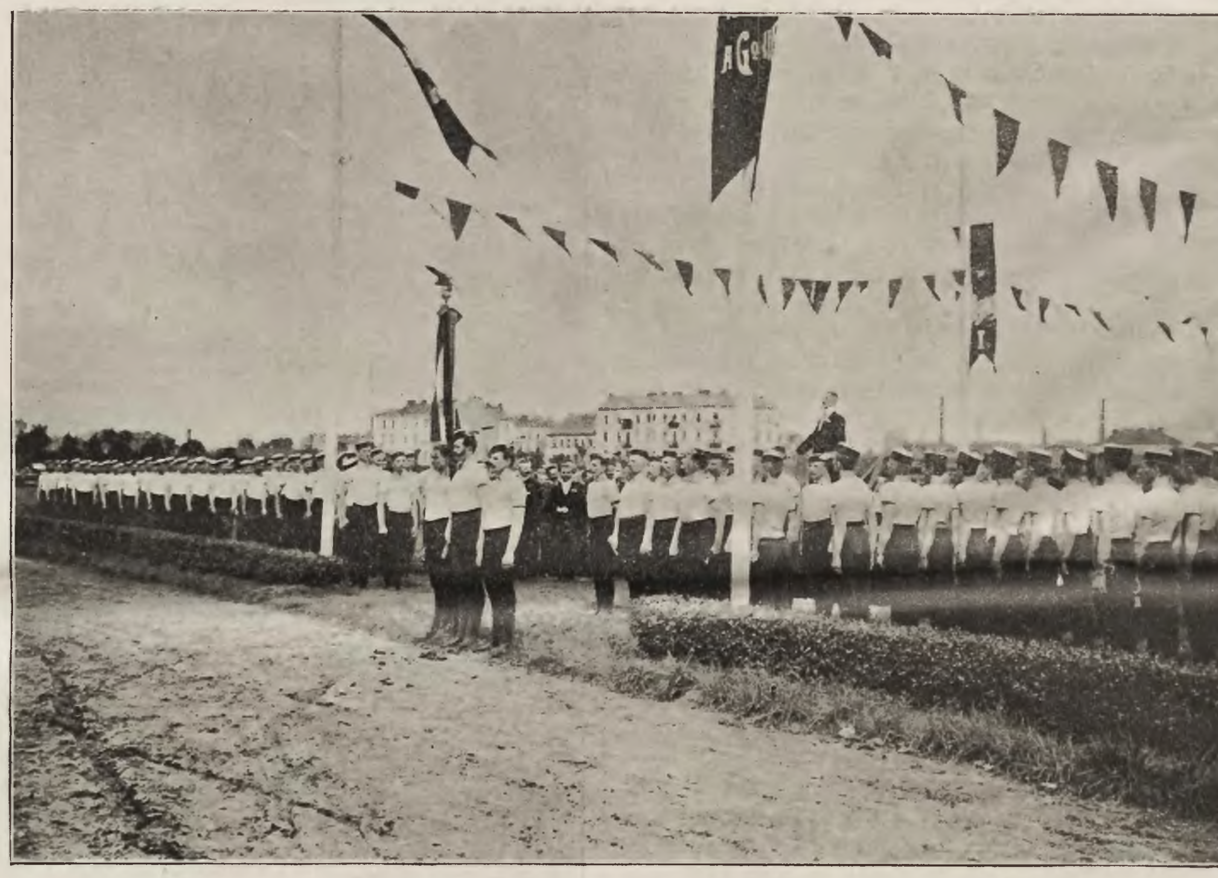
Przed tygodniem przeżyła Warszawa dzień niezwykły nietylko w życiu kół sportowych, lecz i całego narodu. Po raz pierwszy w Królestwie Polskiem, otwarto uroczyście towarzystwo gimnastyczne „Sokół“. Akt ten ma znaczenie doniosłe, tem bardziej, że dwa lata temu, ba, może przed rokiem, nie wolno nawet było nam marzyć o czemś podobnem.

Zaproszenia zarządu Sokoła na tak niezwykłą uroczystość otwarcia pierwszej Sokolni w Warszawie, głośnem echem odbiły się po całym kraju. Nie tylko po kraju: odezwały się tam, gdzie tylko polskość znalazła swych przedstawicieli i sprzymierzeńców.

Uroczystość rozpoczęto nabożeństwem, które na intencyę rozwoju „Sokolstwa“ w Warszawie, odprawił rano w kościele św. Aleksandra ks. Kasiński.

Na pół godziny przed rozpoczęciem się doniosłego aktu, tłumnie podążała publiczność ze wszystkich krańców Warszawy, na plac wystaw rolniczych. Zdawało się, iż przestrony park nie pomieści tej ciżby ludzkiej. Przy bramach wstępu witały przybyszów widne transparenty, z pozdrowieniem sokolskiem: „Czołem“. Wzdłuż pięknie przybranych flagami i girlandami zieleni alei, ustawiona straż honorowa z druhów, witała każdego z gości chóralnem „Czołem“. W około boiska, udekorowanego również proporczykami różnobarwnymi i girlandami zieleni, zaległy tłumy publiczności Promienne smugi światła słonecznego, kładły piękne refleksy na kolorowych ubraniach widzów.

Na głównej trybunie zajęły miejsca delegacye stowarzyszeń sokolich, a więc z Petersburga naczelnik gniazda p. Biegański, z Wilna pp. Gustaw Piotrowski sekretarz, Bolesław Barszczewski, Kazimierz Barszczewski, Tadeusz Wyganowski, Otton Kanicz i Władysław Szumański; z Kijowa p. Jan Przeździecki; z Grodziska p. Stanisław Gasiński; ze Skierniewic p. Władysław Strakacz; z Dąbrowy Górniczej p. Witold Kędzierski; z Piotrkowa p. Leśkiewicz i ze straży ochotniczej w Puławach dr. Woliński i naczelnik straży p. Kotowski. W innych trybunach zasiedli wysłannicy Warszawskich Towarzystw. Cyklistów, wioślarze warszawscy i przybyli na regaty wioślarze z Łomży, Płocka, Włocławka, Kalisza, Konina, oraz łyżwiarze, dalej reprezentowane były: Lutnia, Kasa Mianowskiego, Kasa literatów i dziennikarzy, Stowarzyszenie techników, handlowców, przedstawiciele instytucyj przemysłowych i handlowych, artyści teatrów warszawskich, Tow. artystyczne, cechy, związki zawodowe, Tow. fotograficzne, Tow. Kredytowe Ziemskie i Miejskie, Tow. wyścigów konnych, Tow. lekarskie i higieniczne, Tow. farmaceutów oraz przedstawiciele pism. O ile obliczyć można było, osób zgromadziło się około 20 tysięcy. Wejścia były bezpłatne, za zaproszeniami.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Nemo.

Otwarcie Sokolni warszawskiej: Przemówienie adwokata przysięgłego Popowskiego na uroczystości otwarcia „Sokoła“ w Warszawie.

Wprost trybuny głównej ustawiono mównicę, ozdobioną makatami i pasami słuckimi ze zbiorów p. Malczewskiego. Po obu stronach trybuny zajęły miejsca zebrane *in gremio* korporacye warszawskie cyklistów i wioślarzy w mundurach klubowych. Na parę minut przed rozpoczęciem uroczystości, t. j. przed pierwszą w południe, zajechał przed trybuny J. E. ks. biskup-sufragan Ruszkiewicz. Na powitanie dostojnego gościa wyszli prezes „Sokołów“ z kilkoma druhami. Ks. biskup zajął miejsce na trybunie głównej. Punktualnie o godzinie 1-ej, trębacze odegrali z wysokości balkonu hali, fanfarę powitalną. Jednocześnie z trzech bram hali, wystąpiły cztery gniazda sokole, które, postępując w szeregach, zajęły miejsca na boisku: pierwsze gniazdo po środku, pozostałe po bokach.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Nemo.

Otwarcie Sokolni warszawskiej: Przemówienie prezesa Kobyłeckiego na uroczystości otwarcia „Sokoła“ w Warszawie.

Orkiestra drugiego gniazda zajęła miejsce przed szeregiem i przy dźwiękach marsza sokołów, druhowie w karnych szeregach, wykonali marsz ceremonialny wokoło boiska. Gdy szeregi rozwiniętym frontem stanęły pośrodku, na mównicę wszedł sekretarz gniazda p. Stanisław Brzostowski, który głosem doniosłym odczytał spisany na pergaminie akt otwarcia.

Pod aktem złożyło podpisy kilkuset przedstawicieli wszystkich obecnych instytucyj.

Następnie wszedł na mównicę prezes „Sokoła“ p. Starzyński, który przywitał zebraną publiczność sokolskiem „Czołem!“. Wielotysięczne tłumy zebranych odpowiedziały mu temże „Czołem!“.

W krótkiej przemowie p. Starzyński skreślił historyę powstania Sokolstwa w Warszawie, a następnie, zwrócił się do więzionego w klatce obok trybuny skrzydlatego sokoła i mowę swą zakończył temi słowy: „Ty dumny ptaku, skrzydlaty nasz bracie! Podstępem wydarto ci wolność. My ci ją zwracamy. Wzleć więc w przestworze do światła i słońca i pokaż szlaki dla naszej myśli“.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.

Wyścigi konne we Lwowie: Widok zapełnionej publicznością trybuny głównej na torze Cetnera we Lwowie, w czasie ostatnich wyścigów konnych.

Na dany znak otworzono klatkę i więziony w niej sokół wyfrunął w górę, zatoczył parę kręgów nad boiskiem, poczem usiadł na drzewie, jakby przyglądając się uroczystości i po kilku sekundach poszybował w górę. Żegnano go długo niemilknącymi oklaskami i okrzykami. Jednocześnie z wyfrunięciem sokoła, obie orkiestry (sokola i strażacka) zagrały pobudkę, a na 16-tu ustawionych wzdłuż boiska masztach, podniesiono amarantowe proporce. Z hali wychodzi majestatycznie pluton chorążych ze sztandarem, muzyki grają marsza przy rozdzierających powietrze okrzykach rozentuzjazmowanych świadków, na wielu oczach widać łzy, starcy i kobiety szlochają głośno. Pluton ze sztandarem zatrzymał się przed szeregiem druhów, poczem następuje marsz gniazd w rozwiniętym froncie. Po zaprezentowaniu sztandaru, gniazda stoją w szeregach na miejscach, a na mównicę wchodzą kolejno pp: mece



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.

Wyścigi konne we Lwowie: Prezydyum lwowskiego Tow. wyścigowego wraz z sędziami: Marszałek hr. Badeni, komendant gen. Brudermann, Stan. hr. Siemieński, J. hr. Koziebrodzki, Emil hr. Potocki, Z. Augustynowicz, gen. Höniche, St. Macudziński, St. Pieńczykowski, Tad. Gawiński, br. Brückman, H. Prel itd.

nas Popowski, wiceprezes Tow. wioślarskiego L. Kobyłecki, druh Antoni Piotrowski, delegat Sokoła w Wilnie p. Gustaw Piotrowski, delegat Sokoła w Petersburgu, p. Biegański, delegat Sokoła w Kijowie p. Przeździecki, oraz delegat straży ochotniczej w Puławach dr. Woliński. Po tych przemowach szeregi sokole defilują przed sztandarem, salutując go, i w majestatycznym pochodzie kryją się w hali. Delegaci podpisują akt otwarcia i na tem uroczystość się kończy.

Sokoli żegnają niechętnie opuszczających park gości zaproszeniem na zabawę wieczorną „Kupałę“, która również przy udziale tysięcznych tłumów odbyła się według zapowiedzianego programu.

* * *

Jeszcze dwa razy widzieliśmy później sympatycznych druhów: na regatach wioślarskich nad Wisłą i na wieczornicy w Tow. wioślarskiem. Ubranych w barwne swe stroje Sokołów witała publiczność na ulicach brawami, okrzykami i ukłonami. Do Sokoła warszawskiego nadesłano z powodu uroczystości wiele telegramów.

Wyścigi konne we Lwowie.

Przez trzy dni tj. piątek 29 czerwca, niedzielę 1 i wtorek 3 lipca trwające wyścigi konne na torze Cetnera we Lwowie, ożywiły trochę rozpoczynający się już sezon ogórkowy. Nie były to wyścigi — co prawda — takie, jakie widzieliśmy niegdyś we Lwowie, zwłaszcza wówczas, gdy tor znajdował się na Janowskiem, ale mimo to wzbudziły one dość znaczne zainteresowanie wśród publiczności lwowskiej, która zwłaszcza w dwa pierwsze dni zapełniła szczelnie trybuny, oraz wszystkie inne miejsca.

Z pomiędzy jeźdźców palmę pierwszeństwa zdobył i w tym roku znany sportsman rotmistrz Koller, którego jedynym niebezpiecznym współzawodnikiem okazał się porucznik Reimer. Toż samo konie tych dwóch panów zdobywały niezawodnie pierwsze nagrody, o ile w biegach brały udział. Z innych stajni spisały się kilkakrotnie dzielnie konie hr. Oskara Potockiego.

Totalizator nie szczególne robił w tym roku interesy. Stawiano bowiem premie wyłącznie na najlepsze konie, które też brały nagrodę, tak, iż wiele było wypadków, iż totalizator musiał dopłacać do interesu, mimo że płacił minimalną wygraną.

* * *



Polak biskupem w Turcyi: Najstarszy biskup katolicki w Turcyi, a rodak nasz, emigrant po r. 1863 z Królestwa Polskiego, ks. Franciszek Malczyński, biskup dyecezyi Allessieńskiej w Albanii.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne trybuny głównej, zapełnionej publicznością — oraz komitet wyścigów, z prezesem St. hr. Siemieńskim-Lewickim.

Polak biskupem w Turcyi.

Mało komu wiadomo, że jednym z najstarszych biskupów katolickich w cesarstwie Ottomańskiem jest nasz rodak ks. Franciszek Malczyński, biskup dyecezyi Alessieńskiej w Albanii. Ks. Malczyński pochodzi z Królestwa Polskiego. Po wypadkach 1863 r. musiał opuścić kraj rodzinny. Najpierw bawił przez kilka lat w Rzymie, następnie w Konstantynopolu, skąd przeniesiony został do Alessio w Albanii, gdzie od przeszło ćwierć wieku stale pełni obowiązki naczelnika dyecezyi rzymsko-katolickiej, otoczony czcią poddanych jego pieczy dusz (są to przeważnie Mahometanie, nawróceni na katolicyzm). Ks. biskup bawił niedawno w Galicyi, aby odwiedzić swoich krewnych.

Zjazd Kółek rolniczych w Jarosławiu.

Na zaproszenie Reprezentacyi m. Jarosławia, odbył się w Jarosławiu VIII zjazd doroczny delegatów Tow. Kółek rolniczych. Zbytecznem byłoby wykazywać pożytek, jaki przynoszą krajowi Kółka rolnicze. Zdala od polityki, dążą do poprawy gospodarstwa rolnego włościan, do przyzwyczajania ich do oszczędności i skrzętności, do umoralnienia. Jarosławski zjazd był niezwykle licznym. Przybyło zwyż 200 delegatów z całego kraju i wielu zaproszonych gości. Uczestnicy Zjazdu fotografowali się wspólnie i tę fotografię reprodukujemy. Z wybitniejszych osobistości są tam: prezes Kółek p. Artur Zaremba Cielecki, Jerzy ks. Czartoryski, Stanisław hr. Badeni jun., Witołd ks. Czartoryski, radca dworu dr. Pilat, burmistrz dr. Dietzius itd.

* * *

Zjazd wywarł sympatyczne na ogół wrażenie. Dwie trzecie delegatów stanowili włościanie i oni głównie głos zabierali. Dyskusya wykazała, że jednostki z ludu naszego, grupujące się w Kółkach rolniczych zdają sobie bardzo dobrze sprawę z korzyści wypływających ze stowarzyszania się nietylko dla nich, ale dla całego społeczeństwa. Dziś już tylko brak gotówki i często zbyt wielkie rozdrobnienie gospodarstw nie pozwala członkom Kółek, wykształconym na fachowych czasopismach rolniczych, korzystać ze wszystkich ulepszeń, stosowanych w rolnictwie zagranicą. Z ust włościan



Fot. E. Tenzer w Jarosławiu.

Zjazd Kółek rolniczych: Ósmy zjazd doroczny delegatów Tow. Kółek rolniczych z całego kraju, odbyty przed tygodniem w Jarosławiu; grupa 200 delegatów wraz z gośćmi: z wybitniejszych osobistości są między innymi książę Jerzy Czartoryski (1), radca dworu Pilat (2), Brykczyński (3), burmistrz dr. Dietzius (4), Artur Cielecki (5), dr. Dulęba (6), książę Witołd Czartoryski (7), dyrektor Rychlik (8), dyrektor Adamski (9) itd.

naszych odzywała się bardzo często skarga na to, że w kraju tak wybitnie rolniczym jak Galicya, T. K. R. skupia w swem łonie zaledwie 53 tysięcy członków, że jeszcze nie wszyscy rozumieją korzyści, płynące ze stowarzyszania się. Świadomość tę rozbudzić będzie mógł Zarząd główny bardzo łatwo przez odpowiednią agitacyę, a nie zachodzi już dziś obawa, aby Towarzystwo w miarę wzrastania rozluźniało się i słabło. Przeciwnie, z przybywaniem nowych członków kształtuje się coraz silniej i jednoliciej wewnętrzny jego ustrój. Ale podobnie jak T. K. R. w swej wysoce obywatelskiej działalności spełnia bardzo wiele funkcyj towarzystw oświatowych i rządu krajowego, powinno ono u tych czynników również znaleźć jak najwydatniejsze poparcie.

Wobec zadań, jakie Towarzystwo spełnia, subwencya udzielona mu przez Sejm, jest śmiesznie mała. Fundusze krajowe, przeznaczone na popieranie rozwoju rolnictwa, powinne być przedewszystkiem użyte na T. K. R, będące dziś jedynym przedstawicielem zawodowych interesów ludu wiejskiego, ponieważ stowarzyszenia rolnicze własności wielkiej z samej natury rzeczy są dobrze pod względem finansowym sytuowane. Inicyatywę w zakładaniu Kółek rolniczych powinno podjąć T. S. L. przez swe czytelnie, pomne na to, że dobre warunki materyalne są najlepszą podstawą do krzewienia oświaty.

VIII Zjazd T. K. R. wykazał najlepiej, że i w zaborze austryackim wychodzi nasz lud z okresu, w którym potrzebował opieki czyjejkolwiek, a wchodzi w fazę współdziałania z innemi warstwami narodu.

Przyszli artyści.

Przed rokiem niespełna otrzymało konserwatoryum krakowskie, nowego profesora najwyższej klasy gry na fortepianie, w osobie wybitnego artysty, odznaczonego zaszczytnie na konkursie im. Rubinsteina i byłego profesora odeskiego konserwatoryum p. Jerzego Lalewicza, który jako dobry syn Polski zapragnął pracować dla swojego społeczeństwa i z nad brzegu morza Czarnego przeniósł się pod Wawel.... nad Wisłę. Popis konserwatoryum, w którym klasie p. Lalewicza wyznaczono osobny wieczór, usprawiedliwił w zupełności nadzieje, jakie w artyście tym a wybitnym i nader sumiennym pedagogu pokładał zarówno dyrektor z gronem profesorów konserwatoryum, jak niemniej i cały muzykalny ogół Krakowa. — Produkcya ta, nosząca skromne miano popisu, była właściwie wspaniałym koncertem, szczególniej w części, w której popisywali się uczniowie starsi w pracy nad swymi talentami bardzo daleko posunięci, którym w ciągu sezonu ubiegłego, niewahała się prasa fachowa, oddawać wielkich pochwał, traktując ich przygodne występy na estradzie koncertowej, jako produkcye artystyczne i podnosząc zarówno ich wybitne talenta muzyczne, jak niemniej wielką sprawność techniczną i artystyczne traktowanie utworów. — Z grona tego ustępują dwie uczenice, odznaczone przez komisyę artystyczną konserwatoryum dyplomami artystki, a to p. Zofia Bernsteinowa, warszawianka i pani Zenejda Wołłowicz-Kaufman z Odessy. Podobiznę obu artystek wraz z swym mistrzem i całem gronem kolegów, podajemy w dzisiejszym numerze, życząc im powodzenia w karyerze. —*urs.*—



(Fot. W. Lis).
„Tamten“ na scenie ludowej: Dyrektor krakowskiego teatru ludowego Fr. Frączkowski, w roli pułkownika żandarmeryi Korniłowa, w dramacie „Tamten“.

Echa Zjazdu Rejowskiego.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze grupę uczonych polskich, zebranych u stóp pomnika Mikołaja Kopernika w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Są to członkowie prezydyum w ubiegłym tygodniu zakończonego Zjazdu uczonych z powodu 400 letniego jubileuszu narodzin Mikołaja Reja.

W poprzednim numerze podaliśmy rycinę, która zajmowała całą stronicę 17-tą, a przedstawiała ogromną grupę wszystkich uczestników Zjazdu Rejowskiego. Ponieważ na odwrotnej stronie 18-tej znajdował się między innemi artykuł z illustracyą, który w Warszawie został wraz z ową ryciną skonfiskowany i Czytelnicy tamtejsi otrzymali numer 27-my bez kartki ze stronami 17 i 18, którą wycięto, przez co zostali pozbawieni właśnie fotografii ze Zjazdu Rejowskiego, przeto dla prenumeratorów w Królestwie dołączamy dziś powtórnie odbitkę wspomnianej illustracyi.



Fot. J. Sebald.
Przyszli artyści: Uczniowie krakowskiego konserwatoryum z najwyższej klasy gry fortepianowej prof. Jerzego Lalewicza, z okazyi zamknięcia roku szkolnego. W pierwszym rzędzie z tyłu od lewej ku prawej stoją pp.: Guz, Dachschlägerówna, Kowalow, Potemkowska, w drugim rzędzie stoją: Feldstein, Certowiczówna, Terkanówna, Gayczakówna, Kawińska, Mendelewiczówna, Munck-Kuczborska; w trzecim rzędzie siedzą: Ozierska, Zborowska, Zofia Bernsteinówna (ukończyła konserwatoryum z dyplomem), prof. Jerzy Lalewicz, Zenejda Wołłowicz-Kaufmannowa (ukończyła konserwatoryum z patentem), Carew'ówna i Karpaczewska; poniżej siedzą Szac i Neugier.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

17 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Nie, nie, absolutnie nie! — przerwał mu Winkelman — dlatego tylko zapłaciłem panu tak wysoką sumę, nie targując się wcale, aby obraz ten natychmiast, ale to w tej chwili zdjęto ze ściany!

Strwożony i rozczarowany wydał Milo rozkaz, aby „Boginię śmierci“ Simerenki natychmiast zdjąć ze ściany.

— Gdzie pan łaskawy każe sobie obraz odesłać? — zwrócił się handlarz do Winkelmana.

— Zanim panu na to odpowiem — rzekł inżynier — może mi pan zechce podać dokładny adres pana Simerenki.

Milo przestraszył się trochę i nie chciał odpowiedzieć, kiedy jednak otrzymał od Winkelmana zapewnienie, że nic nie będzie mówił z malarzem o cenie kupna „Bogini śmierci“, podał mu adres.

Winkelman kazał sobie obraz odnieść do hotelu i wyszedł.

Znużony i rozdenerwowany przejściami całego dnia wszedł do nadjeżdżającej dorożki i kazał się wieźć do artysty, który nie malował nigdy żywych ludzi, tylko same trupy.

Zmrok już zapadł, na niebie ukazał się księżyc i lał potok złotego światła na ziemię, otuloną ciszą i mrokiem, kołyszącą się spokojnie po gwarze i ruchu całego dnia do snu.

— — — — — — — — — — —

Powróćmy do atelier Simerenki.

Rozpiął on na blejtramie wielkie płótno i odchylił parawan, chcąc na nowo zacząć malować. Opanowała go znowu gorączka tworzenia. Nałożył farby na paletę i zaczął malować.

Malował przez cały dzień, a teraz już się ściemniło. Przerwał więc robotę i uszczęśliwiony swem dziełem, rzucił się na indyjską materyą zasłany fotelik, obserwując zachwyconemi oczyma umarłą, leżącą bez ruchu, w mroku wieczora jeszcze bledszą i jeszcze bardziej sztywną. Za chwilę naokoło było ciemno i tylko blada twarzyczka umarłej odrzynała się jaskrawą plamą z pośród zmroku.

Wtem — na niebie ukazał się z poza opony ciężkich chmur księżyc, a jego złote promienie wpadły mleczną falą przez górne okno do atelier, rozpływając się w ciemnych puklach włosów zmarłej Wildingowej.

Naraz — czyżby to było złudzenie?!

Simerenko skoczył na równe nogi i stanął, jakby przykuty do miejsca. Przerażone oczy wpił w zmarłą, przez której ciało przechodziło jakby lekkie drżenie — a teraz — byłby krzyknął na cały głos, ale gardło mu odmówiło posłuszeństwa, tak, że wydobył z siebie tylko jakiś niezrozumiały bełkot.

Umarła podniosła się i zachwyconemi oczyma wpatrzyła się w złotą twarz księżyca, potem, jakby zahypnotyzowana promieniami, wstała, podeszła ku oknu, otworzyła je i wyszła na pole, na gzyms.

W tej sekundzie malarz odzyskał przytomność. Wpadł w szał — modelka jego chciała mu uciec! A więc nie będzie mógł dokończyć obrazu, który mu miał zjednać wszechświatową sławę! Wyjął rewolwer, ale w chwili, kiedy miał pociągnąć za cyngiel, jakaś silna męska ręka wytrąciła mu go z dłoni, tak, że nabój wystrzelił na ziemi.

Do pokoju wszedł właśnie Paweł Winkelman, a w tej samej prawie chwili z krzykiem przerażenia znikła owa postać w oknie.

Malarz, któremu rewolwer wypadł z ręki, wpatrzył się, jak obłąkany w otwór okna; przybysz jednakże odepchnął go na bok i wychylił się sam przez okno, ale niczego nie dojrzał. Wypadł więc z atelier na schody, a malarz za nim. Roztworzył drzwi i wyjrzał na dziedziniec, oświetlony, jak we dnie srebrnem światłem księżyca, ale nikogo nie mógł dojrzeć, nikogo!

Wzburzony do najwyższego stopnia podszedł Winkelman do malarza i ścisnął go z żelazną siłą za ramię.

— Skąd pan wziąłeś tę kobietę?! — wybuchnął świszczącym ze wzburzenia głosem.

Malarz spojrzał na niego obłąkanym wzrokiem, ale naraz w dziwnych jego oczach zabłysły ognie wściekłości.

— Panie! — syknął. — Pan byłeś tym, który mi spłoszył moją modelkę — mógłbym pana za to zastrzelić, jak psa! Jak psa, mój panie — krzyczał prawie oszalały. — Zwróć mi pan moją modelkę — muszę przecie skończyć moją „Boginię śmierci“ — muszę, powiadam panu! — krzyczał, jakby w obłędzie.

Paweł Winkelman uważał go w tej chwili rzeczywiście za obłąkanego. Powiedział więc sobie, że lepiej dać obłąkanemu spokój, a poszukać Małgorzaty. Bo przecież ona zniknąć nie mogła.

Zwrócił się więc tylko do malarza i zawołał:

— Pomówimy jeszcze o tem, panie Simerenko, w jaki sposób Małgorzata Wilding przyszła do pana. Teraz nie mam czasu!

Malarz chciał go powstrzymać, ale w tej chwili rozmyślił się widocznie, bo nie mówiąc ani słowa, cofnął się do swego mieszkania, jak nieprzytomny.

Dom Simerenki wspierał się o pagórek, tak, że nieszczęśliwa Małgorzata mogła była bez szkody dla siebie dostać się na ziemię. Strzał chybił wprawdzie celu, ale huk przebudził ją z letargu, dreszcz przebiegł po jej całem ciele i dlatego spadła z okna na szczęście bez szwanku.

Słyszała była wszystko, wiedziała, w jakim celu trzymał ją u siebie ów ponury malarz, zaczęła więc uciekać, jak zraniona sarna, nie wiedząc sama dokąd, byle tylko dalej, byle jak najdalej z tego miejsca.

Gdybyż mogła odnaleźć mieszkanie doktora Stürmera! Ale jakże go miała szukać? Znajdowała się przecież w zupełnie obcej, nieznanej sobie dzielnicy.

Musiało już być bardzo późno, bo nie spotkała ani jednego człowieka. Ale to ją właśnie cieszyło, bo przecież nie miała na sobie nic, prócz śmiertelnej koszuli i jakiejś dziwacznej materyi, zarzuconej jej na ramiona przez malarza. Biegła szybko, jak mogła najprędzej, bo zimno było przejmujące, tak, że się trzęsła cała. Ale naraz zwolniła biegu i zapatrzyła się w niebo.

Cały strop niebios otulony był niby w szal czerwoną łuną, a w oddali wznosił się prosto w górę olbrzymi słup dymu. Dreszcz wstrząsnął całem jej ciałem, choć sama nie wiedziała, dlaczego.

— Pali się! — Boże, zmiłuj się nad nieszczęśliwymi!

Zupełnie instynktem wiedziona skierowała swe kroki w stronę, gdzie się paliło i naraz, sama nie mogła sobie zdać sprawy skąd i jak, ale znalazła się wśród gapiącego się tłumu na miejscu pożaru. Najbliżej stojący patrzyli na nią zdumieni, bo zaczęła drżeć cała, spostrzegłszy, że stoi przed domem doktora Stürmera, otulonym w płomienne morze ognia. Gorąco było tam niemożliwe, że stojącym aż dech zatykało w piersiach i smaliło im twarze. Ale nie ustępowali. Bo też widok był wspaniały. Płomienne języki ognia wystrzelały co chwila w górę niby rakiety, sypiąc skrami, sycząc niby węże, bo co chwila widać było słup wody, puszczanej przez straż pożarną. A wśród tego syku rozlegała się co chwila ostra, krótka komenda brandmistrza.

— Żeby bodaj dziecko udało się wyratować, biedne dziecko! — usłyszała Małgorzata jakiś głos tuż przy sobie.

Opanował ją okropny strach.

— Na miłość Boską, mówicie, że w palącym się domu jest jeszcze dziecko? — zwróciła się Małgorzata do stojącej obok pani.

— Tak jest, został tam chłopczyna, będący u doktora Stürmera na wychowaniu. Doktór Stürmer chciał właśnie rzucić się do wnętrza, ale spadła na niego paląca się belka...

Małgorzata nie słuchała dalej. Z piersi jej wydarł się przeraźliwy krzyk, poczem przemocą zaczęła się przeciskać przez tłumy. Twarz jej była tak trupioblada, że ludzie z przestrachem ustępowali jej miejsca. Doszła ku domowi właśnie w chwili, kiedy z pod gruzów wynoszono nieszczęśliwego lekarza. I wtedy zobaczyła panią Stürmer, załamującą ręce z bólu i krzyczącą:

— Dziecko! Biedne dziecko!

Przyskoczyła ku lamentującej.

— Gdzie leży Fredziu? — spytała nagle.

A pani Stürmer, nie odrywając rąk od oczu, odparła:

— W narożnym pokoju na lewo!

Małgorzata rzuciła się ku płonącemu domowi. Pani Stürmer teraz dopiero opuściła dłonie.

— Kto to był, co ją w ten sposób pytał? Głos wydał się jej dobrze znanym.

Ale nie mogła długo nad tem myśleć, bo przemógł ją ból i troska o ukochane dziecko. Dopiero kiedy ze wszystkich stron rozległy się nagle okrzyki, podniosła oczy do góry.

Zobaczyła, jak otoczona płomieniami jakaś biała postać z błyskawiczną szybkością szła po drabinie w górę, jakby ją coś pędziło w to morze ognia i płomieni.

Pani Stürmer podeszła naprzód; pierś jej falowała ze wzruszenia.

— Czy mnie wzrok nie łudzi? — zawołała. — Nie, to niemożliwe, muszę się mylić — albo może umarli wracają na ziemię?

Osłoniła oczy dłonią, aby módz lepiej widzieć, ale to, co uważała za złudzenie, nie znikło. Słyszała, jak strażacy ostrzegali:

— Wracaj pani, wracaj, bo przypłacisz życiem swą śmiałość!

Ale biała postać nie dała się namówić do powrotu. I teraz zobaczyła pani Stürmer, jak to widziadło przeszło przez palące się okno, jak jeszcze raz spojrzało na dół, aby prawdopodobnie zaczerpnąć powietrza i znikło w dymie i płomieniach.

— Boże, mój Boże! — zawołała — zmarła wynosi swoje dziecko!

Zemdlona upadła na ziemię. Podniósł ją jakiś robotnik, podczas, gdy wszyscy z zapartym oddechem przypatrywali się nadludzkiej śmiałości bia łej nieznajomej.

Płomienie zataczały koło okna coraz szerszy krąg; zdawało się już, że na śmiałej kobiecie zapaliły się szaty, ale nie; płomienie przebiegły tylko po sukni, bo ją strażacy przedtem suto zrosili wodą.

Gęsty dym zatamował Małgorzacie dech w piersiach.

— Boże, dodaj mi sił! — szepnęła.

Szalone gorąco wstrzymało ją na chwilę; spaliły się jej brwi i włosy, ale mimo to poszła odważnie dalej.

Doszła nareszcie do narożnego pokoju. Tam się jeszcze pożar nie rozszalał na dobre, bo był to pokój najbardziej oddalony od miejsca wybuchu ognia, ale mimo to było w nim pełno gorącego, gryzącego dymu.

Sądziła, że dziecka już nie znajdzie przy życiu, ale naraz zadrżała, usłyszawszy w kącie ciche kwilenie.

— Fredziu! Mój ty! — załkała, przyciągając malca, który zaczął głośno krzyczeć, do siebie.

Chciała wracać tą samą drogą, ale spostrzegła, że cały korytarz stał już w ogniu, że więc powrót miała zupełnie zamknięty. Widziała przed sobą tylko jeden jedyny, ogromny płomień, zbliżający się ku niej coraz bardziej i niszczący wszystko po drodze z szaloną szybkością. Tuż, tuż przy niej skakały już płomienne języki i zdało jej się, że w tych płomieniach musi już znaleźć śmierć. Teraz nawet chciała już umrzeć, bo mogła umrzeć razem z swojem dzieckiem, które właśnie przyciskała do piersi.

Mały Fredziu nie widział, jak się zdawało, nic, bo nic nie mówił, tylko wpił się formalnie w pierś matki, która gorączkowo zaczęła iść naprzód. Doszła szczęśliwie do kuchni, gdzie jeszcze ogień nie porobił tyle szkody. Szybko przyskoczyła do okna i otworzyła je.

— Tędy droga! — rzekła do siebie.

Tymczasem jednak na dole rozpięli strażacy nad ziemią płachtę. Spojrzała na nią, stanęła na oknie i przeżegnawszy się, skoczyła razem z dzieckiem.

ROZDZIAŁ XXXI.

Walka szatanów.

Ilona, korzystając z niebecności stangreta, zakradła się do jego pokoju i zaczęła przerzucać wszystkie jego papiery, przekonana, że uda jej się może znaleźć swój cyrograf, jaki mu dać musiała. Znalazła w kuferku pamiętnik swego dręczyciela, przeczytała go i zrozumiała dopiero, w czyje wpadła ręce. Stangret ów bowiem był również zbrodniarzem pierwszej wody, może nawet stokroć od niej sprytniejszym. Zaczęła szukać dalej, ale nadaremnie. Rozdenerwowana i zła na samą siebie, machinalnie zaczęła pewne kartki z pamiętnika wydzierać i chowała je do kieszeni, ciesząc się, że będzie mieć w swej mocy tego, który ją chciał podejść. Naraz usłyszała silne pukanie do drzwi.

Przeraziła się i aż zbladła, bo poznała, że to musi być stangret. W pierwszej chwili nie wiedziała, co ma z sobą zrobić, czy zostać i dać mu się poznać, czy też siedzieć cichutko i nie dać znaku życia. Ale jeszcze nie miała czasu powziąć stanowczego zamiaru, kiedy za drzwiami usłyszała szyderczy głos stangreta:

— Pani hrabino, możeby pani była tak łaskawa i zechciała mnie wpuścić do mego pokoju?

Obawiając się skandalu, otworzyła szybko drzwi, które była przezornie zamknęła, ale zbladła, jak ściana, kiedy zobaczyła jego brutalną, ironicznie uśmiechniętą twarz.

— A — wycedził stangret powoli — moja pię-

kna kochanka zdecydowała się sama przyjść do mego pokoju?

Wściekła z gniewu i drżąca na całem ciele wybuchła:

— Łotrze jeden, zbrodniarzu! Puść mnie stąd zaraz!

Roześmiał się, bo ten gniew jej i oburzenie drażniło go mile.

— Jaśnie pani, albo raczej panno Ilono, przecież pani tego na seryo do mnie nie mówi? — Do mnie, któremu się pani zobowiązałaś być kochanką!

Urwał, jakby mu nagle jakaś myśl przyszła do głowy. — Aha — rzekł wreszcie powoli, akcentując każde słowo. — Chciałaś pani odebrać pismo z własnoręcznym pani podpisem? Tak, tak — dodał po chwili — inaczej być nie może, bo inaczej nie mógłbym sobie wytłómaczyć obecności pani u mnie. — Ale co to znaczy miłość! Ot, ja ciągle to pismo noszę przy sobie —

Urwał znowu i spojrzał na Ilonę, która blada, stała wsparta o szafę, z nieheblowanych nawet zbitą desek.

— Czytam myśli w twej główce, piękna Ilono, pardon, pani hrabino, chciałem powiedzieć. Niech się pani strzeże przed urzeczywistnieniem tych myśli, boby to pani na źle wyszło; gdyby mi pani nawet odebrała to pismo z mej piersi, notabene musiałaby mnie pani przedtem sprzątnąć ze świata, o co u pani łatwo, to w tej chwili zaskarży panią mój brat, mający u siebie odpis zobowiązania pani. Gdzie on mieszka, tego się pani nigdy nie dowie, chociażby pani nie wiem jak o to się starała.

— Czy ci groziłam czemś podobnem? — odparła nerwowo, chociaż myśl zgładzenia go ze świata przebiegła jej właśnie błyskawicą przez mózg. — Puść mnie stąd!

Chciała przejść koło niego, ale w tej chwili chwycił ją z brutalną zmysłowością w swe objęcia i w drżącej, oszałamiającej żądzy wpił się wargami w jej małe usteczka.

Hrabina chciała krzyknąć, ale w ostatniej chwili opanowała się i chociaż drżała od wstrętu, pozwalała mu się całować bez oporu. Musiała! Bo była w jego mocy!

Ale kiedy uczuła, że ją wypuścił ze swych rąk, zerwała się, jak oparzona i pędem pobiegła przez kurytarz.

Wszedłszy do swego buduaru, rzuciła się na dywan i zaczęła głośno płakać. Była oburzona na bezczelność stangreta. Ba, gdyby się jego mogła była pozbyć, ale ten łotr i na to był przygotowany.

Jak ona go nienawidziła! Krzyczała formalnie ze wściekłości i na drobne strzępki potargała zębkami jedwabną chusteczkę. Ale uspokoiła się wreszcie. Wytarła oczy kolońską wodą i upudrowała sobie policzki, zbyt czerwone od płaczu.

A tymczasem Marceli siedział w swym pokoju i cieszył się szatańsko. Cieszył się, że się mógł napoić żarem jej warg różanych, że mógł był przycisnąć ją do swej piersi i ściskać i całować, aż do oszołomienia.

Naraz Ilona zerwała się, natarła wargi jakąś esencyą i zawołała na pokojówkę, aby jej przyniosła płaszcz i kapelusz, a gdy się już ubrała, wyszła do parku, kierując się od razu ku ruinom starej pustelni. Myśl, że ktoś przypadkowo mógł był znaleźć tam zwłoki jej brata, prześladowała ją i męczyła od kilku dni. Codziennie też postanawiała sobie iść do ruin, ale coś ją zawsze wstrzymywało. Wśród ludu bowiem i wśród służby zamkowej chodziły wieści, że w ruinach tych błąka się jakaś potępiona dusza, włócząca się nocami nawet po ogrodzie w postaci zakapturzonego mnicha z długą, siwą brodą. Ale dzisiaj powiedziała sobie, że musi tam być, jeśli nie chce samej siebie, jako pani zamku, narazić na grube niebezpieczeństwo. Miała przy sobie rewolwer i mówiła sobie, że gdyby nawet zobaczyła owego tajemniczego mnicha, to nie przestraszy się, ale się go wprost zapyta, co on za jeden i dlaczego błąka się nocami po samotnej pustelni. W najgorszym wypadku gotowa była zrobić użytek z broni.

A jednak coś ją zawsze powstrzymywało, mimo, że sama sobie dodawała otuchy. Szła powoli, jak człowiek, który idzie przeciw tajemniczemu widziadłu, bo nie może przed nim uciec. Zobaczyła już, jak się z z zieleni drzew powoli wynurzyła napół zapadła wieżyczka, a ponieważ zauważyła, że mrok coraz gęstszy zapada, przyspieszyła nareszcie kroku, bo za żadną cenę nie chciała, aby ją wieczór zapadł w ruinach.

Puls jej bił tak silnie, że go prawie słyszeć było można, kiedy weszła naprzód do obszernej sieni. Było tam już zupełnie prawie ciemno, co ją odrazu przeraziło.

Ale, cóż to było? W miejscu, gdzie Marceli złożył był zwłoki jej brata, nie widziała nic, jeno ciemnoczerwoną plamę. Zwłoki Jaśka gdzieś znikły.

Opanował ją straszliwy lęk.

— Kto go stąd wyniósł? — pytała sama siebie. — Napewne Marceli, ale nie — on przecież uciekł razem z nią, a o ile go znała, był on zbyt wielkim tchórzem i nie byłby się nigdy odważył powracać do ruin sam. Była zaś pewna, że obcy nikt nie mógł tego zrobić, bo wieśniacy obchodzili zawsze ruiny zdaleka, jak mogli najdalej, nie chcąc się narażać na przyjemność spotkania z pokutującymi duchami.

Ilona poszła jeszcze parę kroków naprzód, ale zdało jej się, że usłyszała jakiś szmer, co ją tak przestraszyło, że jak opętana wybiegła na pole, bo miała uczucie, iż za chwilę jakiś mnich czarny położy jej swą zimną rękę na ramieniu. Uciekała więc przez park, jakby przekonana, że tuż, tuż za nią leci czarny mnich. Dopiero kiedy się znalazła



Otoczona płomieniami jakaś biała postać z błyskawiczną szybkością szła po drabinie w górę, jakby ją coś pędziło w to morze ognia i płomieni.

przed zamkiem, zwolniła kroku. Przystanęła i rękę przyłożyła do piersi, jakby obawiając się, że ta pierś, tak szybko falująca, pęknie jej lada chwila. Nie oglądając się już więcej pobiegła znowu na schody, oddała pokojówce kapelusz i płaszcz, kazała jej zapalić światło i opadła na małą kozetkę.

Fakt, że zwłoki jej brata tak nagle i niespodzianie znikły — niepokoił ją bardziej, aniżeli sama myślała. Żeby choć hrabia Pardua wrócił jak najprędzej, bo ta samotność na zamku stawała się dla niej zabójczą. Dla niej, przyzwyczajonej do cygańskiego prawie, wolnego życia, pobyt w zamku Schleinitz był nudnym. Stęskniła się już porządnie za światem.

Gdybyż to jeszcze urządzano na zamku zabawy, bale, na których ona mogłaby święcić tryumfy i królować, to byłoby pół biedy, ale tego wszystkiego musiano skrupulatnie unikać z powodu żony Roberta.

Jakżeż nienawidziła tej delikatnej lalki, z oczyma Madonny, która na nią patrzała takim wzrokiem, jakby jej coś miała do wyrzucenia, jak gdyby przeczuwała, że Ilona odgrywa w jej domu fałszywą rolę. Bo też zbyt głupio było z jej strony, że nie tylko plan jej brata w niwecz się obrócił, ale że on sam życie przy tem stracił. Erna byłaby już od dawna nie żyła, a ona — Ilona — byłaby z Robertem wyjechała, może do Monaco, bo grać lubiała namiętnie, a całe życie i ruch w domu gry łaskotało i drażniło jej nerwy.

Właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek, wzywający do obiadu. Nie miała jednak ochoty zejść do jadalni, bo okoliczność, że będzie musiała patrzeć w twarz Erny, która zazwyczaj siadała naprzeciw niej, wyprowadzała ją z równowagi. Zresztą przy obiedzie musiała zawsze wytężać wszystkie siły, aby zachować pozorny, sztuczny spokój, aby nie wypaść ze swej roli i nie pokazać znienawidzonej Ernie swego prawdziwego oblicza. Kiedy więc przyszła pokojówka, aby ją przebrać, kazała sobie obiad przynieść do siebie.

Za chwilę siedziała już przy suto zastawionym stole, ale nie jadła prawie nic, większej części potraw nawet nie tknęła. Wzięła natomiast do ręki francuską powieść Prevost'a, ale nawet ta pikantna lektura dzisiaj jej nie zajmowała. Czas przedłużał jej się w nieskończoność; opanował ją dziwny jakiś niepokój i lęk, jakby ją dziś jeszcze miało spotkać coś niesłychanego. Dlatego postanowiła rozebrać się i iść spać w nadziei, że sen uwolni ją od męczących przeczuć.

Nie zauważyła i nie przeczuwała nawet, że z poza portyery przy oknie śledziło ją dwoje chytrych, czarnych oczu. Był to Marceli, stangret Ilony, który wślizgnął się jak wąż do jej buduaru, aby zdobyć chociaż jeden jej uścisk, jeden pocałunek.

Wzdrygnął się, zobaczywszy, że Ilona idzie ku oknu, gdzie on się za portyerą ukrywał, ale odetchnął zaraz, bo piękna tancerka zamknęła okno, nie zauważywszy go wcale, poczem poszła do łóżka i zaczęła się powoli rozbierać.

Naprzód zdjęła sukienkę i rzuciła ją niedbale na krzesło, potem sznurówkę, ukazując przepyszną, ozdobioną koronkami koszulę, zdjęła bluzkę i została tylko w halce, tak przeźroczej, że przez nią widać było jej nóżki, tak małe, że się prawie wierzyć nie chciało, żeby to były nogi normalne. Podeszła potem do wielkiego weneckiego lustra i zaczęła rozplatać włosy, które jej wkrótce złotą falą spływały w bujnych kosach na ramiona. Zwierciadło odbijało doskonale całą jej postać

Uśmiechnęła się do swego obrazu i zapytała sama siebie:

— Nie jestemże piękna?

Związała teraz bujne złoto włosów w węzeł i zaczęła się zupełnie rozbierać.

Marceli, który drżąc od wściekłej żądzy, oka z niej nie spuszczał, podziwiał jej wspaniały biust, mogący służyć śmiało nowożytnemu Praxytellesowi za model do rzeźby, przedstawiającej nowożytną Wenus.

Powoli zdjęła halkę, zaczęła odpinać podwiązki zdjęła pończochy i podeszła raz jeszcze do lustra; widocznie podobała się samej sobie, a podobać się mogła, bo rzeczywiście natura uposażyła ją we wszystkie wdzięki, które razem tworzą skończoną piękność kobiecą.

Zdjęła z krzesełka rozwieszoną na nim wspaniałą koszulę nocną, istny majstersztyk koronkarskiej roboty i włożyła ją na siebie.

Marceli, który poprostu oniemiał z podziwu, patrząc na tę iście grecką, niby z marmuru wykutą, piękność, chciał wystąpić, aby ją znienacka napaść, ale nie wiedział sam, co go wstrzymywało.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Otwarcie Sokolni warszawskiej: Grupa delegatów, przybyłych na otwarcie „Sokoła“ w Warszawie, w otoczeniu druhów wydziałowych: Licząc od lewej ku prawej, na pierwszym planie druhowie: Al. Leśkiewicz (w stroju sokolim), Biegański z Petersburga, St. Popowski. Wł. Spiczyński, Emil Rauer, dr. Woliński z Puław, Wł. Szumański z Wilna, Bol. Olszewski, naczelnik gniazda „Warszawa II.“, (w stroju sokolim); na drugim planie: Ostrzeszewicz, Walc, B. Barszczewski z Wilna, Gustaw Piotrowski z Wilna, Oskar Kanicz z Wilna, K. Barszczewski z Wilna, Tadeusz Wyganowski z Wilna, Józef Sobieszczański, (druh i przedstawiciel prasy): na trzecim planie: M. Straszak, Witold Kędzierski z Dąbrowy, Leśkiewicz z Piotrkowa, dr. Jan Guirard, Kotowski z Puław, Witold Koszucki, skarbnik wydziału, Wł. Strakacz ze Skierniewic, St. Brzostowski sekretarz wydziału. (Fot. J. Grzywiński).



Zjazd nauczycieli ludowych w Warszawie: Grupa uczestników świeżo w Warszawie odbytego zjazdu nauczycieli szkół ludowych z Królestwa Polskiego; pośrodku siedzą dwaj wybitni działacze ludowi: Zawadzki i Kobyłecki (w mundurze wiceprezesa warsz. Tow. wioślarskiego). (Zdjęcie fot. zakładu Czesława Kulewskiego).

Zjazd nauczycieli ludowych w Warszawie.

Zjazd nauczycieli i nauczycielek ludowych Królestwa Polskiego na posiedzeniu w dn. 5 ym czerwca r. b. powziął następujące uchwały, które według „Kuryera warszawskiego“ podajemy w dosłownem brzmieniu:

Dwutygodnik „Szkołę ludową“, wydawaną przy „Szkole polskiej“, zjazd uznaje za organ nauczycielstwa ludowego i najusilniej zaleca grupom okręgowym energiczne popieranie tego organu przez zwiększanie liczby prenumeratorów, oraz przez stałe zasilanie artykułami i korespondencyami.

Zjazd wyraża podziękowanie wszystkim, którzy pospieszyli z pomocą dla nauczycieli wydalonych i aresztowanych za spolszczenie szkoły ludowej, a przedewszystkiem składa wyrazy głębokiej wdzięczności braciom rodakom z Ameryki i Rosyi, którzy na obczyźnie zarobiony grosz tak ofiarnie składają na ołtarzu walki o nasze prawa narodowe. Zjazd śle braterskie pozdrowienie kolegom, nauczycielom galicyjskim, którzy za pośrednictwem Towarzystwa pedagogicznego lwowskiego rozwinęli energiczną akcyę pomocniczą. Zjazd w tej szerokiej akcyi ratunkowej, podjętej przez cały ogół polski, widzi ponowne stwierdzenie niezniszczalnej żywotności naszego narodu i nowy objaw wciąż rosnącej duchowej łączności wśród Polaków bez różnicy stanu i miejsca ich zamieszkania.

Zjazd zatwierdza ustanowioną przez zarząd normę zapomóg, wynoszących 15 do 20 rb. miesięcznie dla nauczyciela wydalonego.

Zjazd żywi przekonanie, że wszyscy nauczyciele, wydaleni przez rząd ze szkół, szerzą na drodze prywatnego nauczania oświatę polską i w ten sposób odpłacają społeczeństwu za wypłacane im z funduszu narodowego pensye.

XXVIII zjazd nauczycieli i nauczycielek ludowych Królestwa Polskiego, utrzymując w nienaruszonej mocy uchwały, powzięte na zjeździe w dn. 27-ym listopada 1905 r., powołuje cały ogół nauczycielstwa polskiego do wytrwałej walki o szkołę ludową polską, w której do obowiązkowych przedmiotów nauczania nie będzie wchodził żaden inny język prócz ojczystego. Zjazd stwierdza, że w walce tej nauczycielstwo polskie jest tylko wykonawcą powszechnej woli narodu polskiego i jego najgorętszych pragnień, dlatego więc ogół nauczycielstwa, popierany przez całe społeczeństwo nasze, nie cofnie się przed najcięższemi ofiarami dla zdobycia szkoły bezwzględnie polskiej.

Zjazd piętnuje te nieliczne jednostki, które poważyły się objąć posady po wydalonych kolegach i zaleca całkowite usunięcie ich ze stosunków koleżeńskich.



Fot. E. Pierzchalski.

Echa Zjazdu Rejowskiego: Prezydyum Zjazdu Rejowskiego pod pomnikiem Kopernika w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. W pierwszym rzędzie od lewej ku prawej siedzą: Antoni Adam Kryński, wiceprezes sekcyi ortograficznej; Jan Baudouin de Courtenay, wiceprezes Zjazdu, prezes sekcyi ortograficznej; Tadeusz Korzon z Warszawy, wielki historyk, prezes Zjazdu; Józef Kallenbach, wiceprezes Zjazdu; Stanisław Ptaszycki z Petersburga, wiceprezes Zjazdu; w drugim rzędzie stoją: Ignacy Stein, sekretarz sekcyi ortograficznej; Jan Magiera, sekretarz sekcyi ortograficznej; Witold Nowodworski, sekretarz Zjazdu; Wiktor Czermak, generalny sekretarz Zjazdu; Bronisław Gubrynowicz, sekretarz Zjazdu; Jan Łoś, sekretarz komitetu Zjazdu.



Zjazd organistów w Warszawie: Grupa uczestników świeżo w Warszawie odbytego I zjazdu organistów z Królestwa Polskiego z prezesem związku ks. Gruberskim z Płocka.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.
Pomnik Bartosza: Komitet budowy pomnika Bartosza Głowackiego we Lwowie: od lewej ku prawej licząc, stoją członkowie komitetu: Kazimierz Smoleński, Zygmunt Krykiewicz, Henryk Bogdanowicz, Kazimierz Chaner; przed nimi siedzą: sekretarz Ferdynand Ohly, oraz prezydent miasta Michał Michalski, prezes komitetu.

„Oczekiwani“.

Weszło w bardzo zresztą chwalebny zwyczaj, iż zarówno krakowski jak i lwowski chór akademicki odwiedzają nasze zdrojowiska, przywożąc ze sobą pieśń — którą przerywają nudy wakacyjnego odpoczynku, a także i to, co zawsze ze sobą przynosi młodzież... humor, wesołość i pełną werwy ochotę do zabawy. Z obu względów są nasi dzielni śpiewacy mile widzianymi gośćmi w zdrojowiskach i... oczekiwanymi. Wycieczki takie mają na celu przedewszystkiem rozrywkę i odpoczynek po pracy w murach wszechnicy, lecz że młodzież polska zwykła nawet zabawie nadawać ton poważny, przeto wycieczkom swym nadała charakter koncertów z programem, obejmującym artystycznie poważne utwory chóralne i występy solowe. I tego roku wyjeżdża krakowski chór akademicki w artystyczną podróż,



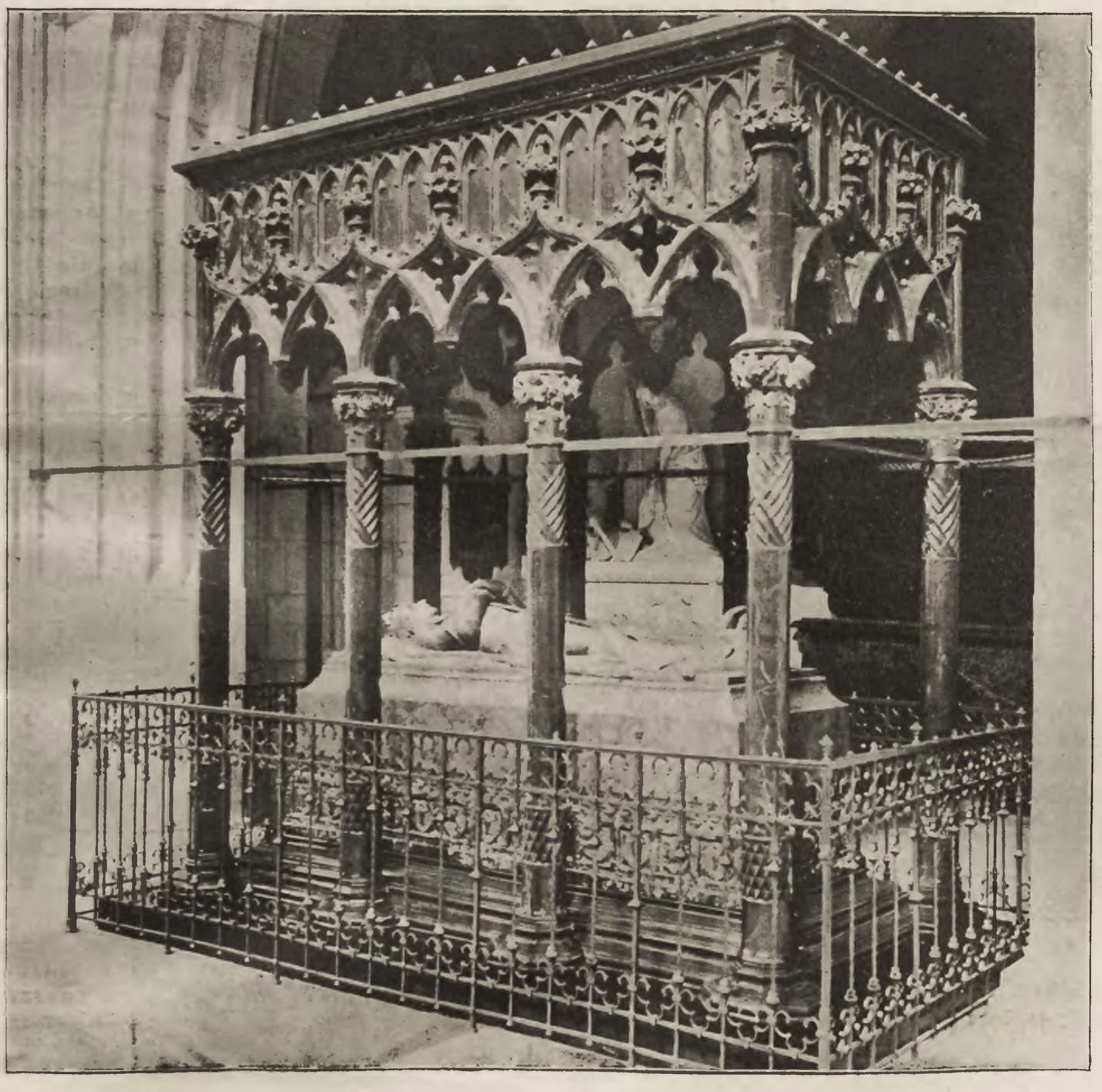
Nowy dostojnik Kościoła: kapłan-patryota natchniony kaznodzieja, ksiądz Bandurski, kanclerz konsystorza książęco-biskupiego w Krakowie, który ma zostać sufraganem archidyecezyi lwowskiej w miejsce ks. biskupa Webera.

biorąc do współudziału młodego utalentowanego pianistę p. Przeorskiego, tudzież na solistę p. Langera basistę-śpiewaka. Wycieczką kieruje znany szeroko w muzykalnych sferach Galicyi młody i wysoce utalentowany muzyk p. Bolesław Wallek-Walewski, który z wielkim pożytkiem zarówno dla sympatycznej akademickiej drużyny śpiewaczej, jak i kultury muzycznej Krakowa pracował, niosąc swój talent i śpiewacki i pianistowski wszędzie, gdzie tego dobro muzyki polskiej lub dobro publiczne wymagało. Pan Walewski po ukończeniu wycieczki, ustępuje ze stanowiska dyrygenta, u-



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“, aparatem redakcyjnym W. Lis.
„Oczekiwani“: Komplet krakowskiego Chóru akademickiego, wybierający się w podróż artystyczną po zdrojowiskach galicyjskich: od lewej ku prawej stoją pp.: Glatzel, Dutkiewicz, Wójcik, Kondelewicz, St. Nowak, Kiełbiński, Kiliński, Fr. Nowak, Chrzanowski; poniżej siedzą: Zięba, Grzegorczyk, Lis, Isakowicz; stoi: dyrygent Bolesław Wallek-Walewski, siedzą prezes Chóru Bandrowski, Langer, Morawiecki, Nawratil.

dając się do Lipska, aby zarówno w tamtejszem konserwatoryum jak i pod kierownictwem znakomitego pedagoga muzycznego H. Rimana, oddać się niepodzielnie studyom muzycznym. Chór akademicki wiezie w repertuarze swym kompozycye polskich muzyków, a to Żeleńskiego, Galla, Bursy, Walewskiego, Waltera itd. — Dzielnej drużynie śpiewaczej życzymy dobrej zabawy i powodzenia. *urs.* —



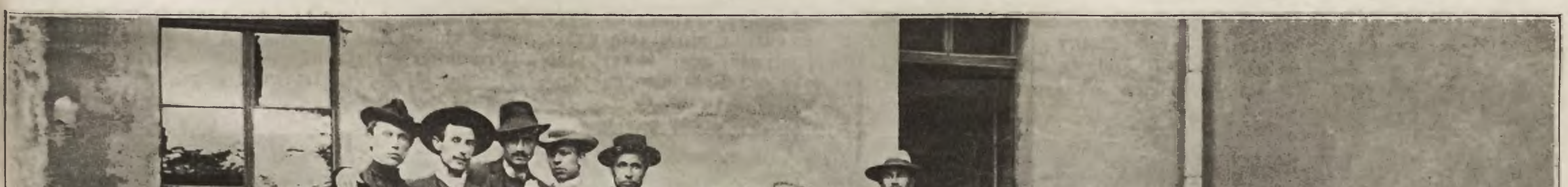
Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.
Król-bohater: Pomnik króla Władysława Warneńczyka w katedrze na Wawelu, dzieło rzeźbiarza Madeyskiego, zdjęte przed kilku dniami zaraz po odsłonięciu.

Król-bohater.

Katedrze wawelskiej przybył nowy pomnik, monumentalne dzieło sztuki, iście potężne rozmachem i wykończeniem. pomnik Władysława Warneńczyka. Opis pomnika podaliśmy w jednym z poprzednich numerów naszego pisma wraz z fotografią pracowni p. Madeyskiego, znakomitego artysty, którego dwa wspaniałe dzieła zdobią już nawę katedralnej świątnicy. Nie będziemy się więc nad niem więcej rozpisywali, streścimy tutaj tylko wrażenie, jakie na każdego wywrzeć musi.

Kiedy się patrzy na pomnik, na postać króla, w pełnej zbroi, z koroną na głowie, z płaszczem, zarzuconym na ramiona, na tę majestatyczną twarz syna króla Jagiełły i królowej Sońki, przed oczyma duszy staje postać tego szlachetnego zapaleńca, którego kości, zanim się w proch rozsypały, bielały tak daleko od ojczyzny; którego pełna wielkich myśli głowa, podwójnie ukoronowana, okrasiła tryumf pohańców; a który rozpoczyna olbrzymi korowód tych, co legli śmiercią bohaterską za wiarę i ojczyznę w walce z potęgą Islamu. I mimowoli ogarnia człowieka drżenie, a pierś podnosi się i napełnia zadowoleniem, bo przecież pomimo wszystkiego nie zapominamy o tych, o których powinniśmy pamiętać. Biorąc w całości, można twierdzić na pewne i śmiało, że pomnik młodocianego króla-bohatera na Wawelu jest jednem z bardzo niewielu znakomitych dzieł, jakie dotąd polska rzeźba wydała.

Jedna tylko rzecz psuje przepyszną harmonię wrażenia, jakie się odnosi na widok pomnika. Jest to mianowicie krata żelazna, otaczająca pomnik niby parkanem. Krata przy pomnikach wogóle, a takich, których części są ozdobne, w szczególności, jest złą; przy pomniku Warneńczyka jest ona zupełnie nieodpowiednią, bo nieprzyjemnie przecina płaszczyzny sarkofagu, zakrywa szczegóły cokołu i odbiera pomnikowi pożądany charakter wspaniałości. Sam twórca pomnika, p. Madeyski, zwrócił uwagę publiczności, że kratę tę uważa za nieodpowiednią i tymczasową. Nie wątpimy, że zabiegom jego w tej sprawie uczyni się zadość i kratę



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Z krakowskiej kolebki sławy: Zamknięcie roku w Akademii sztuk pięknych w Krakowie: grupa studentów na dziedzińcu szkolnym w chwili, gdy komisya profesorów obchodziła sale wystawy prac ich, celem przyznania medali i nagród.

tę zastąpi się niższem, jak najskromniejszem ogrodzeniem, dalej od pomnika odsuniętem, któreby nie miało żadnych pretensyj do odgrywania roli bądź to samodzielnego bądź dopełniającego dekoracyę pomnika ornamentu.

Na załączonej obok illustracyi podajemy fotografię pomnika zdjętą przed paru dniami zaraz po odsłonięciu.

Z krakowskiej kolebki sławy.

Dorocznym zwyczajem zakończył się rok szkolny w krakowskiej Akademii sztuk pięknych wystawą prac uczniów wszystkich kursów, w salach Akademii. Wystawa ta, to owoc całorocznej pracy, tem bardziej interesujący, że w pracach każdego z przyszłych artystów znać doskonale postępy, całą linię rozwoju przyszłych naszych gwiazd w dziedzinie sztuki. Ten fakt nadaje wystawie piętno pewnej nader urozmaiconej oryginalności, a dla ludzi, zajmujących się sztuką, jest niejako wskaźnikiem, jak się talent rozwija, jaką drogą dochodzi do odnalezienia samego siebie i rozwinięcia skrzydeł do szerokiego lotu. Nic dziwnego, że wchodzi się na wystawę z drżeniem w sercu, z tą błogą nadzieją, iż może odkryje się nam nowy jaki talent, prawdziwie wielki i szczery, że w drobnych pracach uczniowskich zdoła się już wyróżnić doskonałość, ukrytą może w mnóstwie studenckich błędów, zdoła się odnaleść zadatki przyszłej sławy.

Na parterze na prawo znajduje się wystawa rzeźb. Ogólny widok wystawy zobaczą Czytelnicy na załączonej obok fotografii. Kilkanaście prac z gliny, wszystkie z jednego robione modela, a jednak — jakaż rozmaitość, jak inaczej każda robiona. Ten mężczyzna, wyciągający miecz z pochwy, na jednych pracach jest tylko — rzeźbą, na drugich istnem dziełem sztuki. Takie n. p. dzieło dra Kuncyka, nagrodzone srebrnym medalem. Wystarczy przyjrzeć się, a odrazu odnosi się wrażenie potęgi, rozmachu i siły, kipiącej w tej przepięknie zarysowanej sylwecie. Robota to subtelna, tak czuła, że w tej szarej glinie uwydatnia się już faktycznie kolor ciała. Znać w tem dziele rękę prawdziwego artysty, który z ciała człowieka wydobył wszystkie piękności i utrwalił je w glinie. Pięknie wykonana rzeźba p. Nowaka, również srebrnym nagrodzona medalem, wyróżnia się interesująco z pośród prac innych, wśród których jednakże niema rzeczy zupełnie złej. I to dużo...



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem red. W. Lis.

Z krakowskiej kolebki sławy: Zamknięcie roku szkolnego w Akademii sztuk pięknych w Krakowie: Konkursowa wystawa prac uczniów; fragment sali aktów szkoły profesora Wyczółkowskiego.

W drugiej salce, tuż obok rzeźby, mieści się wystawa pejzażów poza konkursem. Są tam obrazy znanych już artystów Filipkiewicza, Misky'ego i Szczyglińskiego. P. Filipkiewicz dał kilka obrazów zimowego i jesiennego pejzażu. Wieje od nich dziwny jakiś chłód, czuć w nich jeszcze akademickie piętno. Widzieliśmy już lepsze rzeczy tego artysty. Z obrazów p. Misky'ego wyróżnia się na pierwszy rzut oka prześliczny łopian, na szarem tle jesiennem. P. Szczygliński dał oprócz pejzaży oryginalnych prześliczną odbitkę litograficzną swego znakomitego obrazu p. t. „Kościół Dominikanów“. Nawiasem mówiąc, odbitka ta przedstawia się może efektowniej od oryginału.

Wchodzimy na pierwsze piętro do sali prof. Wyczółkowskiego, której fotografię również obok zamieszczamy. Prac tam mało, ale te co są, świadczą chlubnie o zdolnościach i pilności uczniów. Przedewszystkiem uderza oko wspaniały akt kobiecy p. Misky'ego Ludwika, odznaczający się sze-



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Z krakowskiej kolebki sławy: Zamknięcie roku w Akademii sztuk pięknych w Krakowie: konkursowa wystawa prac uczniów; sala rzeźb szkoły prof. Laszczki.

rokiem traktowaniem, rozmachem o ogromnem poczuciu barwy ciała i pewnością linii. Dalej zwraca na siebie uwagę szczerością odczucia i nadzwyczaj efektownym światłocieniem obraz p. Teodora Grotta, odznaczonego srebrnym medalem, przedstawiający siedzącego starca i dziewczynę.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Lis.
Z krakowskiej kolebki sławy: Zamknięcie roku w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie: Profesor Jan Stanisławski, znakomity pejzażysta, w otoczeniu swych najlepszych uczniów na dziedzińcu szkolnym.

Z obrazu tego bije jakieś ciepło, tchnienie szczerości, zapowiadające ładny talent. Subtelnym rysunkiem odznaczają się prace p. Makówczyńskiego, również srebrnym odznaczonego medalem. Wcałości bardzo dobre wrażenie sprawia półakt starego mężczyzny p. Borzyma.

Najobficiej przedstawia się wystawa kursu p. Stanisławskiego, pejzaże. Wystawa ta i pod względem artystycznym i ilościowym wybija się na pierwszy plan. Uczniowie przebywali wraz z p. Stanisławskim przez dłuższy czas w prześlicznej wsi w Porębce uszewskiej, obfitującej w ładne pejzaże, przypominające obrazy Corota, Milleta i Tournera, oraz w Zakopanem, co musiało wpłynąć dodatnio na ich twórczość. Z pomiędzy wszystkich wyróżniają się przedewszystkiem prace p. Jana Wojnarskiego, odznaczonego srebrnym medalem. P. Wojnarski, to jeden z tych uczniów, który już silnie zarysowuje w dziełach swoich własną indywidualność, na którym nieznać już piętna profesora. Kilka z jego prac, np. krajobraz zimowy, przedstawiający chałupkę w śniegu, malowany z ogromną szczerością i śmiałością, jak strumień, aż dyszący życiem to prace wyrastające ogromnie ponad akademicki poziom. Albo mały letni pejzażyk, przedstawiający kawałek pola ze zbożem, który możnaby śmiało zatytułować „Szary nastrój“. Jakie tam dyskretne i subtelne położenie barw, napozór zimnych, a jednak tak drgających życiem i powietrzem. Śliczne są też jego irysy, odznaczające się plamami w całem artystycznem założeniu, okwiecona jabłonka, mnóstwo innych. P. Józef Makowski, również udekorowany srebrnym medalem, zapowiada także piękną przyszłość. Jego „jabłonka“ jest poprostu cackiem rysunkowem, „chałupka zimowa“ jest doskonałą w kolorze.

Z wystaw rysunkowych najwybitniejszą jest wystawa kursu prof. Mehoffera. Poza konkursem wystąpił na niej p. Jan Rembowski z kilku ukończonemi dziełami, uderzającemi znakomitą charakterystyką twarzy. Znać na nim jednak duży wpływ Wyspiańskiego. Prześliczne portrety, zwłaszcza głowy znakomite w rysunku, wystawił p. W Jastrzębowski, odznaczony srebrnym medałem. P. Dobrodzicki (medal srebrny), wystawił kilka wspaniałych kompozycyj wizyjnych, znamionujących silną indywidualność. Pogodą i pięknym rysunkiem odznaczają się też główki p. Borowskiego (medal srebrny).



Tydzień opery i operetki lwowskiej w Krakowie: Ulubienica publiczności naszej, Helena Miłowska, prymadonna operetki lwowskiej.

Prace p. W. Bielińskiego, odznaczające się nader poprawnym rysunkiem, świadczą o obiecującym talencie, tembardziej, że znać w nich duży zasób cichej a żmudnej pracy.

Dawny kurs prof. Cynka, objął po jego ustą



Fot. dla „Nowości Illustr.“ apar. red. W. Lis.
Z krakowskiej kolebki sławy: Zamknięcie roku w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie: konkursowa wystawa prac uczniów: fragment sali pejzażów szkoły prof. Stanisławskiego.

pieniu prof. Pankiewicz. Dzięki jego pracy, kurs się podniósł i to bardzo znacznie. Za dawnych lat były tam wszystkie ściany zasłane rysunkami, dzisiaj prac nie ma wiele, ale są za to ładne i więcej mówiące. Praca p. Pankiewicza w kierunku rozwijania akwaforty, rozpoczęta tego roku, jak widać na wystawie, robi bardzo dobre nadzieje. Z uczniów, którzy tam wystawili swoje prace, otrzymał p. Rubczak medal za zręczne akty rysunkowe.

Ogółem wystawa tegoroczna różniła się bardzo



Tydzień opery i operetki lwowskiej w Krakowie: P. Mosoczy, basista opery lwowskiej.

od dawniejszych. Przetrzebiono bowiem prace i wystawiono tylko te, które już kwalifikowały się do wystawienia. Kilka talentów zarysowało się już na niej bardzo wyraźnie. *joter.*

Tydzień opery i operetki lwowskiej w Krakowie.

Olbrzymie zainteresowanie się publiczności krakowskiej miłymi gośćmi lwowskimi, świadczy wymownie o wielkiem zamiłowaniu jej do muzyki, a zarazem i o jej muzykalności. Wieczorów operowych urządził p. Heller w ciągu tygodnia trzy, dając nieznaną u nas operę Oreficego „Chopin“ dwukrotnie, tudzież ulubioną w Krakowie operę Mascagniego „Cavallerię“ i „Pajace“ Leoncavalla. — W operach tych przedstawili się publiczności nowo zaangażowani młodzi śpiewacy operowi z p. Malawskim na czele, który stanął już ostatecznie na stanowisku, jakie już dawno mu się należało w teatrze lwowskim. Zwolna muszą się jednak przyzwyczaić do nowego jego charakteru i oceniać go tylko z tego stanowiska. Młodymi i obiecującymi śpiewakami okazali się p. Muszyński, tenor bohaterski, jakoteż pięknym barytonem rozporządzający p. Szapira.

Pan Mosoczy, który śpiewał w „Halce“ partyę Miecznika, jakkolwiek młody to artysta, ma już za sobą świetnie prześpiewany sezon operowy we Lwowie i Warszawie, gdzie cieszył się ogromną sympatyą publiczności i rzetelnem uznaniem prasy. Okazała postawa, świetnie u Wysokiego, tudzież u maestrów włoskich kształcony, wspaniały, o wysoce sympatycznym dźwięku głos, stawiają p. Mossoczego (oto jego portret) w rzędzie najwybitniejszych dziś śpiewaków polskich i wróżą o karyerze sympatycznego śpiewaka nader obiecująco. Ponadto przypomniał się publiczności naszej barytonista p Ludwig, śpiewak wysoce inteligentny i aktor zarazem wyborny. — Z piękniejszej połowy personalu opery poznaliśmy trzy młode obiecujące siły w nadobnych osóbkach pań: Mokrzyckiej, Hendrychówny i p. Colignon Szymańskiej, której to pięknej trójcy przewodzi wraz z p. Kasprowiczową — wyborna artystka o wspaniałym głosie, a kształtach Junony, piękna p. Gębarzewska.

Cały ciężar utrzymania na poziomie świetnej tradycyi operetki lwowskiej, spoczywa na (co prawda) prześlicznych barkach uroczej p. Miłowskiej (podobiznę tej wysoce sympatycznej artystki, ulubienicy całego Krakowa, podajemy obok), zarówno jako Liska w „Tyrolce“, w Krakowie nieznanej operetce Eyelera, jak niemniej w partyi koronczarki ze „Sztygara“ wnosi z sobą na scenę obok olbrzymiej sumy niepospolitej piękności, wdzięku i dziewczęcej krasy, pełen subtelnej dystynkcyi dowcip, podany ze smakiem i dyskrecyą, a wolny od wszelkiej szarży i przesady.

P. Miłowska jest obok tego doskonałą śpiewaczką, rozporządzającą miłym, niosącym, bogatym



Fot. aparatem redakcyjnym W Lis.

„Tamten“ na scenie ludowej: Scena z I aktu sztuki „Tamten“ w krakowskim teatrze ludowym, bitka między studentami a oficerami w restauracyi Matołkowskiej w Warszawie (pp. Radosław, Boroński, Frączkowski, Kalinowski, Modzelewski, Linkowska, Martins, Frączkowska, Kalinowska).



Zdjęcie zakładu fotograficznego Raczyńskiego.

Pierwsi maturzyści polskiej szkoły w Królestwie: Grupa uczniów polskiej szkoły gen. Chrzanowskiego w Warszawie, którzy obecnie otrzymali świadectwa dojrzałości.

w barwę i szlachetny dźwięk głosem, którym włada bynajmniej nie po operetkowemu. Dzielnie obok niej pracuje p. Łopatyńska. dając słuchaczom głosem swym używanym z artystyczną miarą, wiele mile spędzanych chwil. P. Kratochwil z p. Solnickim reprezentują *vis comica*, a przybył im obiecujący p. Miłosza i Sawicki,

Że operetka otrzymała kierownika niepospolitego w osobie wybitnego artysty p. Boguckiego, wspominaliśmy już na innem miejscu.

— *urs.* —

„Tamten“ na scenie ludowej.

Podajemy dzisiaj znowu parę nowych illustracyj teatru ludowego w Krakowie. Sympatyczna ta instytucya rozwija się z tygodnia na tydzień coraz rzetelniej. Dzisiaj już można sprawdzić, ilu ludzi z warstw pracujących, oddanych przedtem nudzie i jej groźnym konsekwencyom, może teraz zarówno w niedzielę jak i sobotę i czwartek spędzić kilka godzin na uczciwej rozrywce. Dyrekcya teatru stara się układać swój repertuar w ten sposób, by sztuki wesołe, okraszone śpiewem i tańcami, przeplatały się z nastrojem podniosłym, podniosłym zwłaszcza na tle narodowem. Wzorowe wystawienie „Kościuszki pod Racławicami“ ściąga co niedziela do teatru ludowego na ul. Rajskiej liczne wędrówki włościańskie i robotnicze — i to nawet z Królestwa. Rzesze widzów, którzy może po raz pierwszy mają sposobność widzieć scenę, upajają się tutaj patryotycznem słowem, płynącem ze znakomitej tej sztuki w takiem gorącem napięciu. Huraganem oklasków wita widownia teatru scenę bitwy, a wzruszenie ogarnia całe audytoryum, gdy Naczelnik na rynku krakowskim składa swoją historyczną przysięgę.

Jedną ze złotych żył nowego teatrzyku okazała się słynna sztuka Maskoffa: „Tamten“. Jak wiadomo, pierwotny tytuł sztuki miał brzmieć: „W Prywiślińskim kraju“. Tytuł już mówi sam za siebie. Autor, a raczej autorka sztuki, umiała w sposób mistrzowski w pięciu aktach sztuki przeprowadzić szereg scen, które prawie każdy zna z życia, a które jednak z taką ciekawością ogląda się w teatrze! Podajemy w naszem piśmie fotografię z aktu pierwszego, który przedstawia wnętrze restauracyi „pani Matołkowskiej“. Układ sytuacyi przemawia sam za siebie... Treść łatwo sobie dopowiedzieć!

Ponadto podajemy fotografię p. Frączkowskiego w roli Korniłowa, która była prawdziwym sukcesem tego zdolnego artysty.

Wogóle „Tamtego“ odegrano w teatrze ludowym tak pod każdym względem dobrze, że ani na chwilę nic nie raziło w całej sztuce nawet tych bywalców teatralnych, którzy chodzili na sztukę Maskoffa nieraz do miejskiego teatru i widywali ją w najlepszej obsadzie. Tu wszystkie role bez wyjątku oddane były tak poprawnie, a sceny zbiorowe wypadły tak trafnie, że możemy szczerze powinszować artystom, zarówno jak dyrekcyi, tak starannie wystawionej, acz bardzo trudnej sztuki z repertoaru patryotycznego.

Zginął od kul z własnego Brauninga.

(Do illustracyj na stronie 20).

Na stosie desek, na ul. Bugaj (ulica w dzielnicy Nadwiślańskiej) w Warszawie, siedziało około godziny 8 wieczór, 3 młodych ludzi. Zwrócili oni uwagę przechodzącego w pobliżu patrolu. Patrol podszedł do nich i zaczął rewizyę. Przy dwóch nic nie znaleziono, natomiast przy trzecim, Wilhelmie Radomskim, stójkowy znalazł Brauninga. Policyant wypalił do R. z tego rewolweru i cały magazyn siedmiu kul wpakował mu w piersi. R padł martwy na ziemię. Dwie kule przeszyły mu serce, nadto był przebity dwukrotnie bagnetami i miał rozpłataną głowę szablą.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

14 (Ciąg dalszy).

Ale mu zaraz Felicya usta zatkała, żeby tylko był cicho, poczem tuż do ucha jego nachyliwszy się, zaczęła szeptać, tłómacząc, co zaszło, aż poznał ją rozbudzony do reszty i uradował się niemało, pojmując, iż powróciły we dworze znowu dobre czasy dla niego.

Po chwili, gdy pod samemi ścianami komórki rozlegało się przeraźliwe naszczekiwanie, ogrodniczek za jej radą wylazł z łóżka i nagle drzwi otwarłszy, stanął w progu, gdy Felicya tymczasem śpiesznie wsunęła się pod jego kołdrę, położywszy się w ubraniu, jak przyszła.

— Mógłby tu teraz nawet wejść ktokolwiek — pomyślała sobie, sama się śmiejąc i na głowę kołdrę naciągając — a nie znalazłby nikogo...

— Co tam takiego — huknął z progu Wosinek, nogami broniąc przystępu do środka psom, które się łasić zaraz zaczęły, ale nie przestały jeszcze naszczekiwać — a to wy Baranie, myślałem, że złodziei psy zwietrzyły w inspektach..

I z powrotem, jeszcze bardziej, niż był w tej chwili w istocie, udając zaspanego, drzwi zatrzasnął, niknąc w głębi komórki.

Psy nie chciały w żaden sposób uspokoić się i nawet zwoływane przez Barana na podwórze, ciągle jeszcze wracały do ogrodu, szczekały przy żywopłocie, gdzie przedtem przez chwilę kryła się tercyarka, to znowu biegły pod same ściany komórki ogrodniczka i ujadały bez końca.

Teraz wszelako nic sobie już z tego nie robiła Felicya.

Nic jej obecności u Wosinka nie zdradzi — o to była spokojna.

Wreszcie i psom sprzykrzyło się, odeszły z ogrodu i uciszyły się zupełnie.

W godzinę później Wosinek, narzuciwszy na bieliznę jakiś stary płaszcz, darowany mu przez dziedzica, wyszedł boso z komórki na przeszpiegi.

Stosując się do wskazowek siostry Felicyi, zajrzał w różne okna, poczem cicho uchylił drzwi szklane, prowadzące na taras i powrócił do komórki, zdać tercyarce sprawę z tego, co widział, nic bowiem nie usłyszał nigdzie wśród ciszy.

Poinformowana dokładnie o wszystkiem, co się w tej chwili dzieje w domu, opuściła Felicya swoją kryjówkę, dawszy wprzód mnóstwo rozlicznych przyrzeczeń ogrodniczkowi, byle tylko nigdy pod żadnym warunkiem nie zdradził przed nikim, że widział ją wogóle tej nocy.

Prócz Wosinka zaś istotnie nikt jeszcze nie wiedział o jej obecności we dworze.

Za chwilę weszła ona na palcach do pokoju dziecinnego i zastała dziedzica drzemiącego przy łóżku Czesia.

Zdumienie jej było wielkie, gdy poznała, że dziecko nie jest bynajmniej w agonii. Była niegdyś sama infirmerką przy chorych u boku lekarzy i miała dość w tej mierze doświadczenia, by od razu zoryentować się, w jakim stanie znajdował się chłopiec.

— Tem lepiej — pomyślała, z miejsca nowy plan budując.

Tryumf Felicyi był nagły i zupełny: pan Edward plackiem leżał u jej stóp, uwierzywszy, że ona mu syna uzdrowiła i że musi uczynić wszystko, co mu każe, byle ją przebłagać...

— — — — — — — — — — — —

Kiedy rano matka przyszła do łóżka Czesia, siedziała przy nim sama w pokoju stara Teklunia.

Nie było ani dziedzica, ani tercyarki.

Poczciwa Teklunia starała się przed nią zataić jeszcze, dopóki się da, powrót siostry Felicyi do dworu.

Pani Edwardowa nie pytała nawet o męża, tak była uszczęśliwiona z powodu polepszenia się stanu dziecka, które do niej uśmiechało się, jakby z codziennego snu tylko rozbudzone rankiem.

Dziedzic tymczasem wracając w towarzystwie siostry Felicyi z kapliczki Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, pod lipami, na kresach parku, wszedł niespodziewanie do pokoju dziecięcego.

Zerwała się z miejsca pani Edwardowa na widok tercyarki. Mąż zmierzał prosto ku łóżku Czesia, jego towarzyszka zaś przystanęła pośrodku pokoju w postawie na pozór skromnej, a jednak przedziwnie wyzywającej.

Naprzeciw niej kilka kroków postąpiła dziedziczka, mierząc ją wzrokiem zdziwienia i pogardy zarazem, poczem nagle gestem pełnym godności drzwi wskazała tercyarce.

Uśmiech ironiczny wykrzywił bladą twarz Felicyi.

Jeszcze tej sceny cichej acz groźnej nie zauważył dziedzic, całując w czoło Czesia.

— Precz z mego domu — rozległ się naraz dźwięczny głos jego żony tuż za nim — ani chwili pod tym dachem!

Obrócił się pan Edward natychmiast, słysząc co się święci i ujrzał dwie rywalki stojące groźnie naprzeciw siebie, jedną wzburzoną do żywego, z ręką wyniośle podniesioną, w postawie dumnej, drugą z bazyliszkowym uśmiechem skromnie głowę chylącą na piersi, lecz nie cofającą się bynajmniej ku drzwiom, które jej wskazywała pani tego domu.

Wszedł dziedzic między nie i gwałtownym ruchem spuścił podniesioną rękę żony.

— Ty na kolana padnij przed nią... słyszysz... Ona to uzdrowiła nam dziecko cudem...

Błyskawicą przez myśl dziedziczki przeleciało wspomnienie niezbyt dawnej sceny „cudu“ tercyarki w stołowym pokoju na folwarku — i roześmiała się głośno.

— Zważaj, mówię ci, kobieto płocha, byś gniewu Bożego nie ściągnęła na swą głowę znieważaniem tej niewiasty świętobliwej...

Dziedziczka śmiać się jeszcze nie przestała, ale po tych słowach męża w głosie jej zadrgała już mieszająca się ze śmiechem nuta złości.

Na usta jej już cisnęły się wyrazy wzburzeniem dyktowane, ale jeszcze w porę pohamowała się i rzekła poważnie:

— Radzę pani dobrowolnie dom nasz opuścić... Miałam prawo spodziewać się, że po owym skandalu głośnym, jakiego świadkiem byłam na folwarku, nie odważysz się pani przekroczyć progu tego domu... Ale skoro jesteś ze wstydu do reszty wyzuta, nie doprowadzaj pani przynajmniej..

Nie dał żonie dokończyć pan Edward:

— Przestań — krzyknął głosem podniesionym, na co dziecko rozpłakało się na swojem łóżku.

Szlochanie chłopczyka sprowadziło z sąsiedniego pokoju Teklunię, która przed powrotem dziedzica wyszła była do kredensu na chwilę.

Więc dziedziczka, która już miała biegnąć do Czesia, pozostała na środku pokoju i nie krępując się obecnością zaufanej klucznicy, zwróciła się do męża, mówiąc szeptem podniesionym:

— Wybieraj Edwardzie... albo ona... albo ja... dla nas obu nie ma miejsca pod tym dachem...

Felicya dewocyjnie ręce złożyła na piersiach, powiodła spojrzeniem jednego oka od Edwarda ku niebu, poczem głowę opuściła na piersi.

Pan Edward zmarszczył brwi aż mu się czoło pofałdowało niezwykle, a wargi zadrgały nerwowo.

Żona jego przez ten czas stała dumnie w miejscu, piękną głowę uniósłszy nieco w górę i z wyrazem spokoju w twarzy, czekała wyroku z ust męża przez kilka sekund, które dla obu kobiet wydały się wiekiem.

— Wybrałem już wprzódy — rzekł naraz dziedzic i schyliwszy się do rąk siostry Felicyi, zaczął je całować.

Zachwiały się nogi pod dziedziczką, ugięły się kolana. Snać nie była przygotowana na takie sprawy rozstrzygnięcie. Już było bliską omdlenia. Mimo to jednak zapanowała nad sobą o tyle, że tylko lekko słaniając się, przeszła w milczeniu przez pokój do łóżeczka dziecka.

Tu do rąk jej rzuciła się Teklunia, głośnym wybuchając płaczem.

Jednocześnie oddalił się z pokoju pan Edward, wyprowadzając ze sobą siostrę Felicyę.

Udali się na naradę, która trwała do południa. Nie zdecydowano jednak nic jeszcze, tak trudno było zgodzić się obojgu na to, jak należy postąpić względem odtrąconej żony.

W sali stołowej zasiedli następnie we dwójkę do obiadu, przyczem od służby dowiedzieli się, że dziedziczka rozchorowała się i leży w łóżku.

Biedna kobieta istotnie dostała gorączki i Teklunia od łóżka Czesia musiała przenieść się do sypialni pani, żeby jej doglądać. Niepokoiła się staruszka niemało, widząc, że stan chorej staje się groźnym.

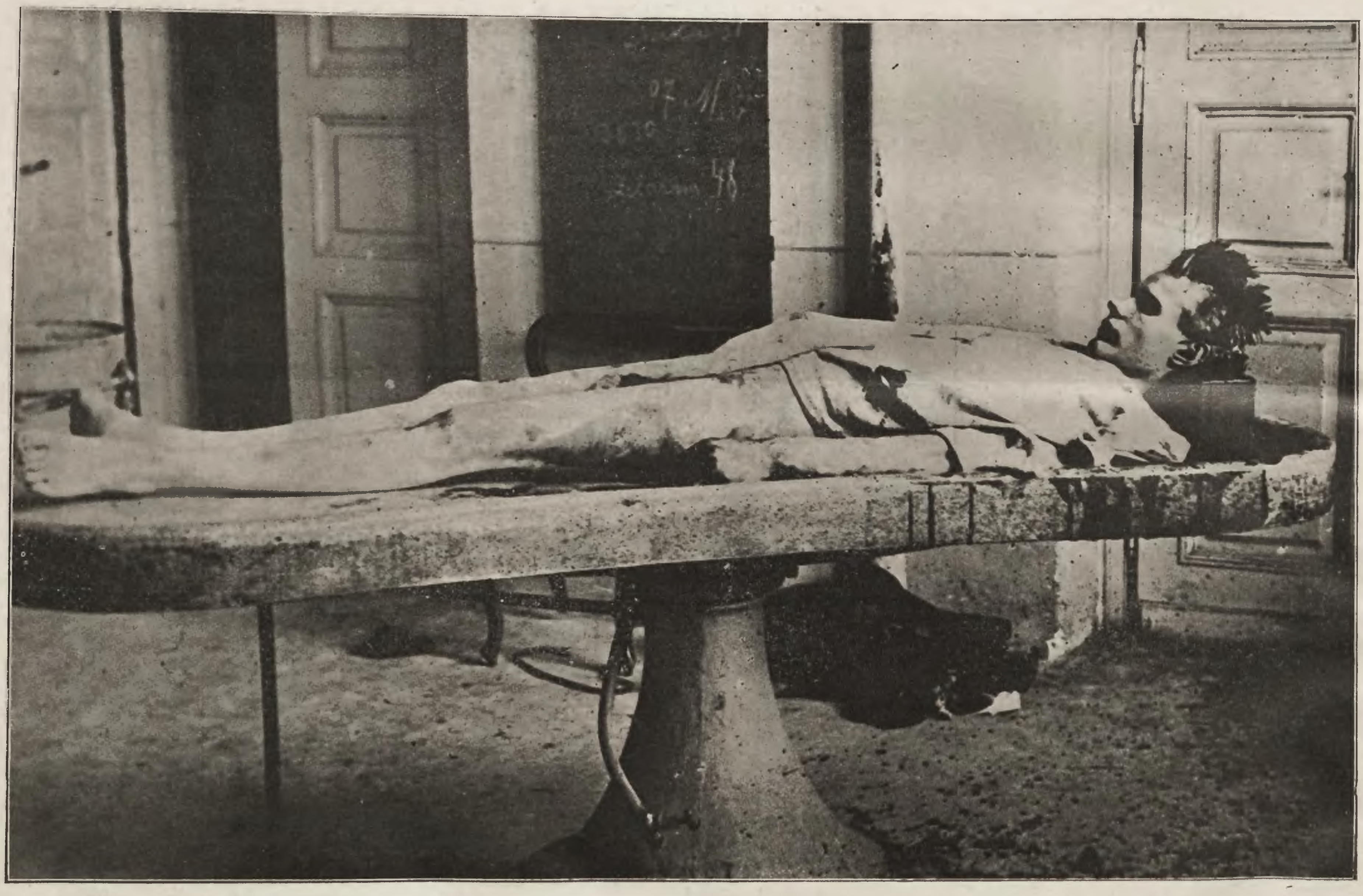
Nie poszła jednak, mimo to, ani razu do dziedzica, uwiadomić go o tem.

Sądziła nawet, że pan Edward, nie wie jeszcze o jej chorobie.

Tymczasem jemu wyperswadowała Felicya, że choroba żony jego, jest tylko zręcznym manewrem, dla znalezienia pozornego powodu do pozostania we dworze. Wobec tego mąż wcale nie odwiedził chorej przez cały dzień i nikogo o nią nie pytał. Dopiero wieczorem dowiedział się przypadkiem, że Teklunia przeniosła panią do swojego pokoiku na parterze i do swego własnego położywszy łóżka, nie odstępowała chorej na krok.

Teraz obaj chłopcy spali już w pokoju dzieci, a Czesiowi było z każdą chwilą lepiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Zginął od kul z własnego brauninga: Ś. p. Wilhelm Radomski, 18 letni chłopiec, który w tych dniach na ulicy Bugaj w Warszawie został zabity siedmiu kulami ze znalezionego przy nim przy rewizyi ulicznej bruaninga.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza i druga pełne aromatu zioło,
Pierwsza i trzecia skacze po trawie wesoło,
Całość — uczony człek,
Wydał go czternasty wiek.

II.

Szarada głoskowa.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Pierwsza leczy się w *Szczawnicy*,
Druga modli się w *kościele*,
Trzecia znowu tkwi w *pszenicy*,
Czwarta jest tam gdzie się *miele*.
Piąta kryje się w *kocyku*,
Szósta pływa po *jeziorze*,
Siódma biega po *trawniku*,
Ósmą znajdziesz w *pomidorze*,
Dziewiątą kryją *cmentarze*,
Ostatnia tam, gdzie *meczety*.
Całość jasno się okaże,
Daje nazwisko poety.
Znane są jego dzieła rozliczne,
Zwłaszcza pieśni historyczne.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane poniżej wyrazy tak ustawić, by ich *pierwsze* litery czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko trzech powieściopisarzy, zaś trzecie litery, w tym samym czytane kierunku, nazwiska dwóch królów polskich, połączone ze sobą spójnikiem.

Wyrazy są następujące: Alina, czyżyk, epopeja, Edzio, Galicya, instynkt, Ifigenia, krokodyl, kańka, kukułka, pikieta, ruiny, rdest, renifer, Stanisław, suseł, Syzyf, szpak, Ursus, uginać, wawrzyn, zaczarowany, Zator.

Logogryf.

Ułożył O. Tłuchowski, Warszawa.

Ze zgłosek: a, ar, ak, ba, ci, ci, ce, cy, di, din, doł, e, e, go, go, i, i, kal, ki, kow, la, li, lo, lo, ła, ław, ło, ma, mach, nau, ni, nip, nicz, nik, nius, no, no, os, pon, ra, ro, ru, ry, sa, so, sos, sy, sy, ter, wad, wal, wi, wie, wo, y — ułożyć 18 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół i końcowe, czytane z dołu do góry, utworzą dwa, spójnikiem połączone nazwiska, dzielnych szermierzy pióra polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta polski z końca XVIII. wieku. 2. Inaczej myśliwy. 3. Nazwa uczestników wyprawy po złote runo. 4. Nazwisko drugiego wiceprezydenta Dumy. 5. Dwie samogłoski. 6. Miasto w Macedonii. 7. Urząd w sądzie gminnym w Królestwie Polskiem. 8. Poseł do Dumy z Symbirska, znakomity mówca. 9. Mieszkańcy Ardennów 10. Ludzie, prowadzący życie wśród zabaw i rozkoszy. 11. Poseł do Dumy z powiatu mińskiego. 12. Klasztor, w którym umarł Bolesław Śmiały. 13. Braciszkowie zakonni, pełniący niższe służby w klasztorze 14. To, co wypełnia przestworze. 15. Inaczej Japonia. 16. Miasto w gubernii Piotrkowskiej. 17. Nauczyciel Jana Olbrachta. 18. Rzeka w Azyi.

ZAGADKA.

Ułożył S. Samueli, Limanowa.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane góry na dół, utworzyły nazwisko największego poety i dramaturga angielskiego.

×
○ × ○ ○ ○ ○
○ ○ × ○ ○ ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ × ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ ○ × ○ ○
○ ○ ○ ○ ○ × ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ ○ ○ ○ × ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ × ○ ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ × ○ ○ ○ ○
○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ×
○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ ○ × ○

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Powieść Orzeszkowej. 3. Powieść A. Gruszeckiego. 4. Powieść A. Gruszeckiego 5. Powieść M. Gawalewicza. 6. Powieść A. Krechowieckiego. 7. Powieść W. Kosiakiewicza. 8. Powieść Bolesławity. 9. Powieść Kraszewskiego. 10. Powieść Orzeszkowej. 11. Nowela Sienkiewicza.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierkę czekoladek** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 26.

Szarady.

Pireneje.

Łamigłówka.

Jaworów — Grodzka — Sarzyna.

Zagadka.

Arnold, **b**ron**z**, **r**og**i**, **A**lba-ect**e**, **H**yderaba**d**, **A**ro**u**. **M**ar**s**, **O**rmu**z**, **W**alent**y**, **i**-**o**, **c**yn**k**, **Z**amojsk**i**.

Abrahamowicz-Dzieduszycki.

Kryptogram.

C, ł**z**y, tr**a**wa, San-**R**aba, Czar**n**y kot, Ged**y**min, or**k**an, k**o**ń, **t**.

Czarny kot.

Arytmogryf.

M, P**o**l, So**k**ół, Mok**o**tów, Za**t**or, **pół**, **w**.

Mokotów.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: St. Łaszkiewicz Dębica, K. Fuchs Peczeniżyn, F. Misińska Podmojsce. Z. Ehrenberg Kraków, M. Pfeiffer Przemyśl, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, A. St. Bassara Niwiska, Al. Bocsoń, Bóbrka, O. Paszkowska Fiume, W. Czaczka Rzeszów, E. Bogdalska Koropuż, K. Surowiecki Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów, L. Rączkowski Kraków, St. Nidjol Kraków, Fr. Janicki Łazy, Fr. Oborniak Budapest, Z. Szymczakowska Zakopane, K. Bobek Zakopane, J. Wodziczkówna Germakówka, J. Jaroszkówna Przybysławice. M. Weimerowa Przybysławice. M. Bartelmusowa Lwow, H. Plechawska Stanisławów, K. Jasiński Kraków, A. Batko Lwów, Wł. Hałdziński Tarnów, T. Domain Sanok, H. Mokrzycka Turbia. M. Świtlikowa Rzeszów, H. Ulrych Malin, J. Haładej Gorki, M. Rożański Gorlice, J. Aleksandrowicz Krakow, O. Tłuchowski Warszawa, Fr. Kośmider Nówy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Świtlikowa w Rzeszowie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Przyzwyczaja się.

Do Szlomy Rodzynka, szewca na Świętokrzyskiej w Warszawie, przychodzi wieczorem po zamknięciu sklepu jego przyjaciel Aron Miotełka, handełes z Bagna. Szloma siedzi przy stoliku i moczy sobie palec w szklance z wodą.

— Co si tobie zrobiało Szlomunciu, poczebowałesz sobie skaleczycz w palec?

— Nic sobi w palec nie zrobiałem, Aronku, tylko ja jezdem chory i chodziłem do doktora... on mi powiedział, co ja koniecznie potrzebuję kąpiele brać... Nu, to widzisz, Aronek, może byoz niebezpiecznie, jak się nie jest przyzwyczajony do tego... nie można tak od razu zaraz... To ja sobie tak powoli przyzwyczajam.

NADESŁANE.